SZKICE HELWECKIE

I

TALIA.

PRZEZ

ERNESTA BUŁAWĘ.

LIPSK.
NAKŁADEM KSIĘGARNI PAWŁA RHODE.
1868.

I. 40. 478

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002735415

DO

ART. . . . GROTTG. . . .

Umieszczenie Twego nazwiska, kochany ziomku; na pierwszej karcie tej książki, którą ośmielam się Ci poświęcić, jest już dla niej dobrą wróżbą. — Położyłem je tutaj z taką otuchą, jak nasz gazda podkarpacki, co stawiając nową chatę, na wiązaniach jej przyszłego dachu osadza bukiet świeży. — Ten, który założyłem, kładąc tu Twe imię, będzie może najlepszą korzyścią dla dachu, bo nie zwiędnie, gdy dach może łatwo runąć i być zapomnianym, kiedy dziś jest jeszcze tak wątłym, że go skrzydło motyla uderzeniem swojem mogłoby może obalić, niemniej jednak rośnie czołem w niebiosy — bo tylko w górę iść może — bez względu czy chatą wichry i burze trząść będą, czy na niej zagnieździ się

bocian spokojny, czy piorun spali jej strzechę, czy kuny, udając duchów, łopotać po niej będą —; osadzam niemniej ten bukiet — z miłością bratnią — niech spocznie na chacie i zakwieci ją, jeźli godna, by w niej mieszkał lud „polecany przez Kazimierza Wielkiego, Kordeckiego i Kościuszkę Najświętszej Pannie“. — Niech Ci ten utwór zakwieci trudną drogę Waszą i będzie rękojmią cząstkową ogólnego uznania.

Autor.

„Z pielgrzymich dróg.“

Szkice Helweckie.

Z Lindau do Constancyi.

List do E***

Zacznę od końca, zanim zącznę od początku —
Powiem ci, żem szczęśliwy — bo Helwecyi cuda
Niczem nie są cudniejsze od Tatrów zakątku,
I są jako Salomon, w swoim majestacie
Przy lilii polnej, jako postać wielkoluda
Memnonowego obok posągu Hellady...
Co piękny w swej nagości, (tej klasycznej szacie,)
Stoi jeszcze nieznany, tylko orłom dzikim
I księżycowi, co nad niemi wstaje blady,
Gdy nad Czarnego-stawu demonicznym rykiem
Świeci i srebrzy piany jego rozmarznięte. —
Ale teraz czas w drogę —
Żagle już rozpięte,

I mijamy lwa Lindau, co stróżem zatoki,
Siadł na skale, i głowę podnosząc w obłoki,
Grozi wszystkim tyranom, błyskający temi
Kły, co się świadczyć zdają wspomnieniom tej ziemi....
Jak myth ludu, złowieszczy dla wszystkich tyranów,
Co ryknie prędzej później i strząśnie łańcuchy,
A od ryku zatrzęsą się kości kurhanów
Niepomszczone, i pomsty zachychoczą duchy....
Powiał wiatr, i roztoczył się szafir jeziora
Jak turkus roztopiony pochodnią wieczora,
Pełen ognistych węży, cichy i głęboki...
Jak morze łez radości, jak wspomnień potoki
W dali nikły bawarskie Alpy zbłękitnione,
A kiedym na Szwajcaryi wybrzeża omglone
Pojrzał, ujrzałem tylko Gesnerowskie światy,
Sielanki drobne, rzewne, bluszcze, w bluszczach chaty
Uciekały za brzegiem — tam, gdziem się spodziewał
Widzieć Tytanów skalnych, w powietrzu dziewice
Skamieniałe wznoszących, w mgłach...
Kędy wieżyce
Skaliste, ja marzyłem, widziałem zielone
Wybrzeża — jak osady mrówek zaludnione....
Był dzień Zielonych Świątek, pełen wiosny, maju,
Pokład mrowił się ludźmi, i według zwyczaju

Lud ten w świętalnych szatach płynąc, pieśni nucił,
Weselne — rade, — których głos mi ducha smucił...
I na końcu okrętu, w około kotwicy,
Ujrzałem garstkę ludzi bladych i milczących,
Co nie śpiewali: — cicho stali wędrownicy —
Ich pieśni inne, inne! pełne wspomnień drżących
Tęczami łez i gromów daleką przyszłością, —
Milczeli z jakąś straszną głazów ponurością;
I dłonieśmy ścisnęli po pierwszem spojrzeniu,
A śpiew swój zanucili w pielgrzymiem wzruszeniu —
I przy nim lud umilknął w świętej grozie cały
A śpiew cichy rosł, wzlatał, olbrzymiał z skał w skały,
I Alpy Alpom echa jego powtarzały....
Dalszy, wyższy wygnańców tych cel niźli szczyty
Alpów. I pieśń wionęła porwana w błękity....
„Boże cos Polskę!...“ brzmiało z falą u Alp proga
W pół skargi, pół wyrzutu.— pół — samego Boga!
Zwolna dziczały brzegi — w pianach zgasło słońce. —
Wstał księżyc, okręt szybko pruł błękity fali,
Wieże Konstancyi na tle Alp wstawały w dali,
Szczyty gór coraz wyżej darły się rosnące
Jako myśli ludzkości dobiegłszy błękitu
Stają tęskne, lecz szczyt ich tutaj niema szczytu....

Wreszcie statek zawinął do cudnej przystani
I o ląd trącił piersią z spienionej otchłani,
Ale długo w noc jeszcze — na skalistym brzegu
Leżałem, a jezioro — tak głucho szumiało,
Gwiazdy drżały, fal tyle u stóp mi skonało,
Jak wspomnień w smętnym życia pielgrzymiego biegu...
I wały tak ponuro tłukły rozbrzyźnięte
O skały, dokąd biegły miotane wichrami,
Że zdało mi się marząc dziecka wspomnieniami,
Że mi do stóp przyniosły zkądś serce pęknięte!

Szafuza.

O Renie! rozkiełzana szmaragdów topieli!
Poszarpana w granitach, lecz nieustająca!
Ramiona wyciągnąłem do tęczy, co drżąca
Wstała z nad pian dymiących z ryczącej gardzieli!...
O Szafuzo czarowna! Alpów duszo dzika,
Tyś jest jak dzieje wieków, w otchłanie wieczności
Tocząca groźne nurty z grzmotem, co przenika
Duszę w najgłębszych głębiach, w grozie i piękności!
Widząc się o strumieniu, jak się w majestacie
Suniesz śnieżny, ryczący w otchłań z wysokości,
Kiedy lasy nad tobą szumią jak przeszłością
Co ostrzega obecność w biegu ku przyszłości,
Wzbudzasz mi za Niagarą tęsknotę, jej bracie,
A siostra twa tęsknotę budzi — za wiecznością...

Solura.

Lubię te dzikie drogi chaotycznych światów,
Kędy muł stąpa we mgle nad otchłań krawędzie,
Gdzie wśród urwisk pustelnik, orzeł tylko siędzie,
A w dole się rumienią w łzach gierlandy kwiatów
Alpejskich, róż samotnic, gdy w górze u szczytu
Mignie gemza, jak wichrów córa i błękitu.....
Czasami zdrój zakipi przy krzyżu pamiątki,
Gdzie wiosna wygrzebuje z śniegów ludzkie szczątki....
Ale nic tak nie wstrzęsło mi namiętnem łonem,
Choć Tetenoire i Chamouny okiem zadziwionem
Witałem, nie tak nawet w podziemiach Chillonu
Biło serce wzburzone, jak o piersi dzwonu,
Gdy u twego pomnika, wielki nasz tułaczu!
Stanąłem, gdzie znów młodzi zbiegli się rodacy
Szukać pociech wśród zgrzytu zwątpienia i płaczu,
Padając tu jak ranni od piorunu ptacy!...
O cześć ci! cześć Kościuszko! w tułactwa siwiźnie

Wzorze polskich tułaczy! jak łza czysty, święty,
Duchem święciłeś miecz, co oddałeś ojczyźnie,
Tu niech wiarę odzyska, kto w zwątpień przeklęty
Zdrój tonie i bluźnierstwem na tę przyszłość bryźnie!...
Orężowi dziś twemu młodej Polski plemię
Wierne wraca opłakać raz jeszcze swą ziemię,
Tu na nowo tułactwa węzeł niechaj splącze
W splot gordyjski, co przetnie tylko ręka Boga,
On rzekł: ja po za krajem, z krajem was połączę,
I nierozłączy z nim was dłoń żadnego wroga—!
O emigracyo! znicza ty smętna strażnico!
Co się rodzisz na krzyżu, umierasz na krzyżu,
Czuwaj jak orzeł biały nad cichą łzawnicą
Z nemezą w szponach orlich — lecz bądź gołębicą!
Z gromnicami, co gromy zapalą w pobliżu
Stóp bożych! — czuwaj biała w stóp krwawych pochodzie!
Byś kapłanką się stała w kapłańskim narodzie!
Biada ci, jeźli mała, w waśni i szkaradzie
Zmarniejesz, i Tytanów skarlisz powołanie,
I tysiąc z jednego, niech stanie! — — i stanie!
Byle czuł co na barki „Polska“ jemu kladzie!
O emigracyo: dumna żebraczko ojczyzny!

Nakarm duchem i sercem skupczone plemiona,
Niech im życia i ciepła dadzą twoje blizny!...
A gdy gromem uderzy On! w tarczę słońc dzwona,
Poznasz, że grom co pali — to grom odrodzenia!
Każda walka — to tryumf, więc każda zwycięztwo —
W tobie cierpi i rodzi całe człowieczeństwo,
Boś rozsiana po swiecie dla cnoty nasienia!....
Północ i zachód zbawisz, zbawiając ojczyznę,
A dzieje ci oddadzą z lichwą każdą bliznę,
Że poznasz mrącą nicość z rozpaczy zdziczałej,
Że się Polak w kajdanach rodzi — lecz do chwały —
Choćby ci świat Alpami orlą pierś przywalił,
Zrzuć Alpy! i zerwij się w lot orła wspaniały,
Orłem co strzeże ziemi — i pogonią chwały —
Czuwaj! by czuwającą dzień jutra ocalił!...

1865.

Wschód słońca z Rigi*).

List do P.

Ciemno było — jak w duszy, co nawpół złamana,
Składa skrzydła w otchłanie zwątpień zapatrzona,
Ale co wkrótce nową siłą uorlona,
Wzleci — —
Noc już konała bliska swego rana.
Nocowałem u szczytu, a przed dniem zbudzony,
Mogłem budzić jaskółki (choć arcystrudzony),
Z kijem, co ojcem mógł być srebrnych pastorałów,
Zakończonym w róg gemzy, darłem się do góry,
I wszystko spać się zdało wśród dzikiej natury
Prócz zdrojów, w mgle grających pieśń nocnych chorałów.
Na kiju tym nazwiska były wypalone
Szczytów, które zwiedziłem. Tak po drodze życia

---

*) Rigi, góra Szwajcarska 10,000 stóp mająca, od Rzymian nazwana *mons rigidus*.

Na pielgrzymim kosturze czyny wymodlone
Wypala człowiek od dni swojego powicia....
A więc alpejską różę, spotkaną po drodze,
Uwiązałem u rogu gemzy, co kij kończył,
I myślałem: „kto z różą te znaki połączył,
Wygrał — choć grożą gady uskrzydlonej nodze...“
Taka róża, o Polko! to trofea życia!
Jako uśmiech Helleński w pośród walk pożycia!...
I tak myśląc się wdarłem na czub nagiej skały;
Ranne zorze już noc ze szat jej odzierały,
I na łachmany mgieł, co przetkane gwiazdami
Zdały się, przepaściom je rzucały, gdzie z dołu
Szarpały niemi wichry, co nie śpią, skrzydłami
Uderzając, jak orły dziejowe pospołu...
Ale noc jeszcze silna, podemną, nademną,
Zdawała się panować potężnie śród świata,
Jak koncesye robiący pół grzyb dyplomata,
Co spruchniałych rusztowań budowę daremną
Przebiegłością ochrania, myśląc, że ocali,
Dokąd mu gmach padając głowy nie przywali!...
W tej ciemności, co stała się już zbłękitniona,
Coraz mniej czarna, księżyc po nad gleczerami
Zawisł srebrny, jak hostja natury, blaskami
Jasnemi zlewał światłość na gór mgliste łona...
I był jako łza Stwórcy nad światem zroniona,
Którego wszechmoc sama podźwignąć nie zdoła,
Bo sam się dźwignąć może!... ale łza zmrożona

Zdała się oddechami pysznego anioła...
I ośrebrzał świat wielki od końca do końca,
Gdzie przestrzeń swą granicą! Wśród przestworzów koła,
Noc się zdała stróżować u jasnych wrót słońca.
I gwiazdy jeszcze drżały, gasły, samotnice
Smętne, jako u grobów lampy i łzawnice;
A szereg gór lodowych, śnieżny i spiętrzony,
Jak szkielet mamutowy, co czeka zbudzenia,
Paszczą śniegów i lodów kłami najeżony,
Ku przepaściom poglądał, pełen rozryczenia,
I piany wodospadów, których srebrną grzywą
Trząsł i mroził mgły szaty piersią napół żywą.
Od wtórej strony Jura łańcuch wpół widomy,
Drżał światłami przedświtu, jak gdyby ruchomy,
A w dole — ha! tam przestrzeń bez końca i końca *)
Rozłożoną się zdała, we mgłach pogrzebana,
Jako w żałobie na wschód jasny czekająca
„W żałobie swojej wiarą w słońce zaufana...“
W mgle tej dolnej harmonia cudów! to miljony
Trzód, grających dzwonkami na pastwisk obszarach,
Razem wzlatały, grając po szczytach i jarach
Anielsko, jak głos arfy duchów niewidomej,
Co wzlatujące modły całej smutnej ziemi
Biorą i odrzucają perły tęczowemi!...

*) Około 10,000 mil kwadratowych.

Ta harmonia z mgieł, obszar ziem otulających,
Zdała się sfer harmonii echem.
Już lecących
Ptasząt ujrzałem kilka; to ranne jaskółki
Zbudzone, w tych się toniach jak błękitu pszczółki
Zdały, a już skowronek począł psalm, co słońca
Budzi; i za lodami zgasła twarz miesiąca.
Wszystko zdało się czekać na wschód przeczuwany,
Wodospady się ciszej zdały szumieć, ranny
Powiew już od lodowców wiał słabiej, i dzwonki
Z dolnych mgieł grały smętniej, umilkły skowronki...
Nad szczytami się niebo zrumieniło smugą
Różową, kraśną, krwawą, purpurową, długą,
Co chwilami w fioletu zdała się w odcieniach;
I gwiazdy poznikały na cichych sklepieniach,
Jak stado gemz spłoszonych, co pędząc z wichrami,
Sadzą nad tęcze kaskad, grzmiących otchłaniami;
A niebiosa bezbrzeżne, wielkie i rozwarte,
Zdały się, jak pierś Boga, duchowi otwarte...
I taka cisza stała się nagle w naturze,
Co tylko pochód słońca poprzedza, lub burze.
I na skrzydłach wichrowych, w płaszcz swój purpurowy
Trysło nad iglicami strojne, gorejące,
Rozlało zdrój ognisty po nad ziemi końce,
Rozdarło mgły w przestrzeniach dolin, jak Jehowy

Mieczem, wzniesło je w górę, roztrzęsło w błękicie,
I dwanaście mi jezior na jeden rzut oka
Odsłoniło!!!... tak cichych, jak samotne życie,
Zwierciadeł nieba, w których zagrało promieniem.
Dusza, jak one cicha, jak ona głęboka!...
Bo cierpienie jej szczęściem — a szczęście cierpieniem!
I noc jak zakwefiona ze swemi chmurami.
Od dróg rozstajnych słońca uchodząc w pieczary,
Od kaskady cisnęła garścią pereł rosy,
Co z szyi swej zerwała, i cichemi głosy
Strojąc lutnię wichrową, usnęła z gwiazdami;
Po za nią mgły uchodzą, jak snów widziadłami
A już niebo i skały zdały się płomieniem
Pochodni zapalone, wodospady grały
Znowu głośniej; i trzody rzewniej podzwaniały.
Kwiaty jarów otwarły główki pochylone —
I wszystko, wszystko, wszystko! zdało się natchnione
Tą potęgą twórczości, co zgina kolana,
Tęczami wiąże otchłań brzegi, kędy wstaje,
Budzi śpiących w ciemności, nad ludy rozwiana,
I wstrząsa gromem życia, co znak życia daje!...
Alpy po Alpach zewsząd olbrzymio wstawały
Szeregami, piętrami, bez końca i końca.
Natura, jak dziewica z letargu wstająca,
Lasy, wody i wichry w hymn się rozszalały.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Orły płyną błękitem — ponad przestrzeniami,
Gdzie szedł Hannibal, Cezar, zkąd spadł Bonaparte
Lawiną — nad Auzonii czarownej licami.
Ślady ich już wichrami i wiekami starte!...
Tędy jak myt wsteczności cofał się Suwarów,
Tędy dzisiaj wygnańcy, co postrachem carów,
Idą naprzód samotni, odarci, zgłodniali,
I przy Tela kapliczce milczą — skamieniali!...
Ale cel ich dróg wyższy, niż tych, co bywali
Orłami szczytów waszych, dumni i zuchwali,
A jak wasze na skał tych niebotycznym szczycie,
Imię, tak ich na dziejów wieczności błękicie
Będzie ryte iskrami, i niczem nie starte,
Większe niż Cezar, Karol i ty Bonaparte!
I Rigi dumny szumiał lasów festonami
Po nad jezior zwierciadły zdał się cichym królem,
Był jak żywioł romański, wielki pięknościami,
Grający w tarcze Romy czynów wspomnieniami
Jak w grobie swoim Wielki Karol w Akwisgranie **)
Z dumą w twarzy nad wszystko wyższą, ale bolem
Wydeptaną, nie wyższą nad ból, co cierniami
Ściele drogę przyszłości!...
Naprzeciw w błękicie
Stał Pilatus *) skalisty, piersiami obficie

*) Góra naprzeciw Rigi.
**) Alluzya do fresku Norybergskiego Kaulbacha.

Zdał się karmić naturę, choć sam był karmiony,
I dumą uniesiony, choć u szczytu nagi
Jak prawda; on zdał mi się jak żywioł germański,
Jako chleb, zaczyniony wielką ręką Sagi,
Chciał rość, ale skamieniał w sobie sam strawiony
W wieki, od wrót gotyckich przeszłości patrzący
Nad tonią dziejów, szatę swoją zszywający,
I bardziej szatą swą zajęty, niż ludzkością!...
A słońce powstające z między nich, miłością
Jasne i gorejące, ach! to świat słowiański,
Wstający z pod Karpatów, gdzie po piramidzie
Trupów, co nieśmiertelnie konają, Bóg idzie!
I szło słońce wędrując...
Pielgrzymie wieczności!
Nad ziemią sprawiedliwych wstań słońce wolności!...

Strofa do natury.

I macierzyńska i dziewicza razem,
Naturo! matki'ś ty ducha obrazem;
On choć znużony i cierpieniem blady
Znów się u piersi twojej odmłodzieńcza,
Jak z pocałunku słońca i kaskady
Zrodzona tęcza!

Sporności *).

Sonet kanoniczny w albumie Turystki.

Są róże, co na grobach kwitną tak wesoło,
Są usta, co tak smutno śmieją się wśród życia,
Że jedne mogą zdobić narzeczonej czoło,
A drugie służyć śmierci do grozy pokrycia —
I na róże grobowe spłynął motyl drżący,
A na uśmiech łza spadła z ognia i piołunu,
I motyl z zwiędłym liściem na grobach legł lśniący,
A łzą anioł wśród burzy zgasił skrę piorunu —
Ale grom miał nie w strzechę słomianą uderzyć,
W serce wielkie, zdrzemane chciał nim los wymierzyć —,
By je zbudzić z letargu zwątpień i niechęci —
Więc lepiej niechaj usta śmieją się wesoło,
A róże niechaj smętnie stroją mogił czoło,
By nie szarpać zasłoną tajemnic pamięci!...

*) Stósowany niejako do formy muzycznej zwanej „Kanon," gdzie każdy takt basowy powtarza ton, czyli myśl wiolinu poprzedniego taktu, dorabiając wiolin nowy i t. d. do nieskończoności.

Na skale.

Są chwile w życiu, które trzeba chwytać,
Bo niechwycone więcej nie wracają,
Napróżno potem i płakać i zgrzytać,
Jesienie kwiatów wiosny już nie mają...
. . . . . .
. . . . . .

U kapliczki Wilhelma Tella.

(Napis na skale.)

Lud, co nie umie za swą wolność ginąć,
Nie wart żyć wolny — ni po śmierci słynąć.
Ty zwyciężyłaś święta Polski sprawo,
Na dziś upadłaś, jutro wstaniesz krwawo!...
Każde z twych dzieci to przyszłości dziecię!
I śmierć go pomści, i pomści go życie — —
Dumny, żem syn twój, o matko natchniona!...
Klękam przed tobą: ty — „w górę strącona!“
Patrz z krzyża! — żyją twych nasion plemiona!...

Strofa do jezior.

Jeziora moje! jeziora! jeziora!...
Witam was z słońcem, z gwiazdami wieczora,
Głębokie, jako toń serca mojego,
Ciche, jak dusza moja zadumana,
Pełne błękitu i złota płynnego,
Jak młoda arfa natchnieniem wezbrana,
I otoczone skałami do koła,
Jak młodość moja, jak ona burzliwe!...
Jak ona rade ciszy, a szczęśliwe
Burzą, gdy piorun miota dłoń anioła,
Groźną nad całej przestworzem natury,
Gdy w blaskach staną gorejące góry,
A z was namiętność jak z mej piersi woła,
I powstajecie jak duch uwolniony,
By rzucać więzy, zwalniać Laokony,
Aż znowu ciche, jak moje wspomnienia,
I jak tęsknota moja, z oddalenia
Niesiecie różę, której żadna ręka
Nie chwyci, chyba anioł niewidomy,
Co jedną ręką tęcze — drugą gromy
Ciska, a przed stęsknionem sercem klęka.
Witam was z słońcem, z gwiazdami wieczora,
Jeziora moje! jeziora! jeziora!...

Oda na widok Mont Blanc.

(Z Szamuny.)

O piękny jest król skał i gór,
W koronie gwiazd, na tronie chmur,
Mont Blanc!...
Do Himalaji matki wichrów chór
Szle z pozdrowieniem dalekim co rania,
Witając niższych gór bratnie postacie
Mont Blanc!...
Fałdem zielonych lasów po kolana
Obrzucił stopy swoje w majestacie,
Czasem w nich nitka zdrojów przetykana
Bieży w dół, błyszcząc po zielonej szacie,
A piersi dumnym, olbrzymim oddechem
Śnieżną koszulę podarł, że przegląda
Granit jej hardy, co korony żąda,
Ale od gromów wyższa jego głowa
Bodzie niebiosa, gardzi gromów echem,
Groźna jak anioł, którego Jehowa
Zsyła na ziemię i patrzy w doliny,
Czy nad koronę wyższa? czy na ziemi
Dla jego skroni nie ma wśród głębiny
Mórz pereł jasnej — nad te, co lśniącymi

Blaskami płomienieją z błękitów krainy?...
I do dziewiczej Jungfrau, zakwefionej,
Pogląda zawsze, wieki utęskniony;
A kiedy słońce kwefy jej rozedrze,
I pocałuje szczyty jej promieniem,
To grzmi pierś jego oddechu westchnieniem,
I nieraz szatę swą w lawiny przedrze,
I największe brylanty, zwisłe u swej skroni
Miota w otchłanie, zkąd już każda goni
Zdrojem pod stopy Jungfrau, aż zacięta
W lód, nad otchłanią błyska zawiśnięta —
Choć u stóp jego szumią armie borów,
Igrają zdroje, czuwa świat potworów,
On milknie niemy na szczytach gór,
W koronie gwiazd, na tronach chmur,
Mont Blanc!...

I niemy w chmurach, jako szczyt boleści,
W niebiesiech ginie... aż Jungfrau rozpieści
Skroń jego, chmur swych wieńce szląc wichrami
Na czoło jego, pisane wiekami:
Aż Jungfrau orła poszle, ptaka chwały,
Na jego szczyty, co z dumy zdziczały.
O! wtedy huczy zdrojami wesoło,
Szaleje, wzdycha borami w około,
Dumny, dziewiczy, na szczytach gór,
W koronie gwiazd, olbrzym śród chmur,
Mont Blanc!...

Wodospad w Verneyaz *).

Padłem na traw kobiercu....
A z olbrzymiej skały,
Co przedemną urasta i bodzie niebiosy,
Szumią śnieżnych pian masy, jak gdyby szumiały
Białe skrzydła aniołów, ich szaty, ich głosy,
Gdy zstępują na ziemię z drabiny Jakóba.
Fale jak śnieżne kształty ich tłumu migocą,
To znów ryczą jak szatan pod stopą Cheruba;
Z skałami fale, z falami skały się szamoczą!...
Tu gracyi z majestatem wieczne zaślubiny,
Które wiąże dziewicza kapłanka-natura.
Czasem na nie upadnie mgieł osłony chmura
I otuli bluszczowe gierlandy, doliny...
Huczą piany, jak z wieżyc Kolońskiego tumu,
Sunąc w otchłanie w milion stargane festonów,
Rozbryźnięte w mgły chmurę, w tysiące załomów,
Pękają — aż na kwiatów kobierzec upadłe,
Wstają mglistym tumanem i nikną wśród szumu,
I już płyną w koryto przyszłości rozpadłe....

*) Znany pod nazwą Pissevache.

Kiedy okiem po licach Alpejskiej doliny
Toczyłem, dosłuchując ostatnich skowronków,
Łowiąc dźwięki, pasących się w koło trzód, dzwonków,
Chmurą mgły od kaskady cisnął wiatr swawolny;
I na czoło mi spadła, jak usty dziewczyny
Rzucony szept westchnieniem, co nie pocałunkiem
Ale duszy powiewem... jak z drogiej krainy
Wspomnienie, zwierciedlące stron swych wizerunkiem,
O Verneyaz! Verneyaz! urocza dolino!
Szum twój tęskny, z błękitów tonią spokrewniony,
Jak szum wiosen młodości, namiętny, szalony,
Myśl plątaną w harmonie rwie marzeń krainą...
Z daleka słyszę piosnkę, czy echo piosenki...
Zda mi się pieśń od Polski... głos anielski, znany...
O! ciszej szumcie chwilę rozhukane piany,
Głos wasz namiętny płoszy te echa podźwięki.
Ciszej!... głos niknie w dali... wietrzyk nim powiewa —
Słuch wytężam z tęsknotą... cicho!... nikt nie śpiewa!...
To gdzieś w głębiach mej duszy głos się ozwał smętny,
Jak na falach bezbrzeżnych Oceanu mewa,
I gna wspomnień kaskadą w toń duszy namiętnej....

Giessbach.

Jezioro ciche szybą zbłękitnioną
Porusza ledwie jak piersią natchnioną,
A skał olbrzymy stojące w około,
Patrzą w toń jasną, słońcem napełnioną,
Jak myśl poety, gdy bywa wesołą,
I tak głęboką i razem przejrzystą,
Jako dziewicy dusza — póki czystą!...
I sunie łódka pomiędzy skałami,
Mija krawędzie, jak kołyska cicha,
A maszt jej śnieżny zefirem oddycha,
I pruje wody swych wioseł pląsami.
Tak lubo płynie, jak gdyby sternikiem
Amor u szczytu żaglami kierował,
Jak gdyby amor bussoli pilnował,
A Psyche wiosła stała się strażnikiem,
I fal, co łódkę kołyszą, całują,
Jak serca wiernym, cichym powiernikiem,
Gdy piersi łodzi łabędzie toń prują...
I ściga za nią eskorta tęczowa
Rybek swawolnych, co się w głębi chowa,
Jak myśli puste, co przebieżą chwilę,
I ulatują — jak z kwiatów motyle...
Dziczeją skały —

Aż nagle u szczytu *)
Najwyższej góry szumi chaos piany,
I z rozdartego skałami błękitu
Źródło w dół pędzi — jako płaszcz stargany,
Co Talia z Melpomeną zszarpały w łachmany
Srebrne. — Tyle w nich smutku i wesela
W dyssonans łączy się, i wraz rozdziela!...
Pędzi zygzakiem, skacze na otchłanie,
Szumi, grzmi, dyszy, gra, jęczy i śpiewa....
Nad nim zielony feston drzew powiewa
Schylonych w przepaść; z niego górskie łanie
Piją, i skubią we mchach niezabudki,
Smętne konwalie i łzawe stokrótki,
Aż wietrząc nozdrzem, błyskawic siostrzyce,
Sadzą nad kaskad szum, nikną wietrznice,
I błysną jeszcze smętnemi oczyma,
A potem — nie ma ich już... nie ma! nie ma!
Nikną w błękicie. Zdrój w jezioro spada,
Jak wiek po wieku, zygzakiem cudownym,
I dziewiętnaście zygzaków kaskada,
Jak dziewiętnaście wieków, swym wymownym
Szumem tam tworzy stopniowej piękności,
Że zda się słyszeć ich przechód w ludzkości,
Aż grzmiąc w jeziorze nikną — jak w wieczności.
I na powietrznym moście, z szumu drżącym,
Stojąc, patrzyłem na Alpy, jezioro,
I w piany, szałem pędzone kipiącym,
Rzuciłem różę.... Poszła tanem rwiącym,

*) Wysokość, z której spada Giessbach, dochodzi około 1000 stóp.

I w toń przepadła, w pianach zagrzebana,
A za nią pieśń rzuciłem w tonie świata,
Róża pobiegła, falami porwana,
I pieśń odemnie poszła w dal skrzydłata.
Próżno po obu pielgrzym się zasmuci;
Niewróci róża... czyliż pieśń powróci?...

Do orła.

Orle! my bracia, my obaj na skałach
Gnieździm się smutni, dzicy i samotni!
Orle! my bracia, razem w burzy szałach
Płyniem piorunów siecią, niepowrotni!
I siedzim niemo u najstromszych szczytów,
A chociaż gwiazdy iskrzą się z błękitów,
Milczym, aż słońce tryśnie jasną tarczą;
Wtedy zrywamy się i lecim w światy,
Gdzie innym w wichrach pióra nie wystarczą,
Płyniem ssać nektar, w chmur krwawych szkarłaty.
Orle mój, orle! ty jeden z mych druhów
Byłeś mi wierny, bo nie znasz wędzidła,
Bo gardzisz złotych blaskami łańcuchów;
Orle! niech długo niosą cię twe skrzydła,
A kiedyś przypłyń nad mogiłę moją,
Do orlej, świętej i cichej krainy,
Kędy warkocze brzozy w perły stroją,
I patrzą w jasne szafirów głębiny,
I posiądź chwilę — a potem w błękitach
Orlemi szpony wyryj gdzieś na szczytach

Me imię — ale po nad stromą skałą,
By go tam ludzkie oko nie czytało....
A potem znowu twą drogą zuchwałą
Leć, i przepadaj....

Chillon.

Z nad fal Lemanu witaj mi ołtarzu
Wolności, z gniazda wyrosły niewoli!
Przy tobie Polak w jasnej aureoli
Widzi swą przyszłość po dziejów cmętarzu
Idącą cierniów drogą, co nie boli!...
Stąpiłem w ciche, olbrzymie komnaty,
Suną się rzędem — to sądowa sala,
To sala tortur, kędy ciała szmaty
Przy wolnym ogniu padały na ducha
Posiew, prężone pętami łańcucha,
Trzeszczały w stawach, aż Lemanu fala
W mury te tłukła Okeanid łkaniem,
Ale nie ludzkich serc tu zmiłowaniem;
Dalej zbrojownia, schody w dół, ciemnice.
Otchłań czarna jak piekło, gdzie lampy strażnice
W grobach tych więźniom mrugały przez lata,
U góry światło, w pajęczynach krata,
I sklep, gdzie więzień na śmierć już skazany
Ostatnią noc nocował, i w kajdany
Dzwoniąc, ze wstrętem rzucał światło świata;
A w środku wielkie sklepione więzienie,

I u filaru Bonniwardów pęta,
Cichemi łzami płacze tam sklepienie,
Jakaś pieśń westchnień jęczy tam zaklęta.
Po nad filarem jakieś imię ryte
Jak wczoraj, świeże — jak łzami obmyte,
Patrzę — i głoski przykryłem ustami,
A echo sklepów grało mi to tonami
Lutni Charolda, jak niegdyś się zdało
Uchu, że ją jak w gruzach Newsteed podsłuchało;
I pieśń przeszłości echem kroków drżała,
Nikła, dziejowych mórz Okeanida,
Prometeusza wdowa, — to szumiała
Fala Lemanu, jak ona bezdenna,
I tak błękitna i tak stóramienna,
Że w nią — podmyta, runie piramida
Gleczerów hańby i gruzów niewoli —
A z piany wstanie dziedzic aureoli!

Jungfrau.

Królowo dziewic! ty Bogarodzicy
Za próg ostatni służyłaś do nieba!
I odtąd w niemej okryta tęsknicy,
Patrzysz w doliny ziemi! lecz ci trzeba
Toni dróg mlecznych i nieskończoności
Słońca, któremu czasami twe lica
Rozsłonisz smutne, i znowu w cichości
Tak okwefiona, jak prawdy widziadło.
Ogromów niemasz ty oblubienica,
Patrząca wieki w swych jezior zwierciadło,
Tyś jest jak sztuki szczyt stromy i trudny,
Gdzie pielgrzym stąpa w świat orłów odludny;
Lecz jeźli krokiem jednym nie dostanie
Do szczytu, spada w otchłani otchłanie!
A tyle jego dumnej tu pociechy,
Że się przynajmniej orłom pozostanie
Na żer — i dzikie, swawolne uciechy
Z kośćmi w błękitach. . . .

Grotą na morzu lodowem *) pod M. Blanc.

Zda mi się, że w świat Styngsu niemy i ździczały
Wiodą mnie białe duchy tymi chodnikami . . .
O morze lodów, czyś ty jest ludzkości łzami,
Co zmarznięte, stopniami do nieba zostały?
Czy niedosyć miłości w was było, że śmiały
Pochód wasz zmarzły wraca na ziemi wygnanie?
Korytarz kuty w lodzie ciemnieje stopniami,
Tchnienia zmrożone parą u sklepień skonały,
I opadły łzą zimną, jak pożałowanie
Ludzkie —
Od świata jeszcze dolatują głosy,
W dali zdrój gleczerowy, i szumi w niebiosy
Prastary chór modrzewi, i grzmot brył lodowych
Słychać, gdy oberwane spadają w głębinie.
A w grocie drżące po szczelinach gleczerowych

---

*) Mer de glace. — Grota wykuta w lodach.

Łamie się światło, barwą zczarowaną ginie
Błękit, co nie z tej ziemi, bardziej tajemniczy
Niż w grocie Capri, jasny jako pustelniczy
Duch, kiedy rzuca ciało o chwili skonania,
A niebo się źrenicom powoli rozsłania....
I już ściemniał korytarz, krople podzwaniają,
U sklepień błyska lampa, jak gwiazda nadziei;
Ale raptem się ściany lodu rozszerzają,
Znowu jasno — i jaśniej śród bliskich kolei,
Aż się grota rozwarła w wielki łuk, jak brama
Cudów, i cudne Alpów wstaje panorama;
I zdroje, lasy znowu wracają szumiące,
A po nad nimi cicho w głąb się stacza słońce *).

1865.

*) Szkice Helweckie wyszły pierwotnie w „Dzienniku Literackim“ lwowskim.

Cmętarz nad jeziorem Zürich.

Sonet poświęcony P. i P. G.

O ty cudów ustronie bezbrzeżnej piękności!
Na wzgórzu winnic krzyże, posągi, mogiły,
A z nich oko szaleje wśród orlej radości
Po przestrzeniach jeziora, co się zbłękitniły.
Nad niemi Alpów szczyty, kopuły bez końca,
Rosną po sobie — lecą — aż w objęcie słońca.
Jezioro błyska masztów śnieżnemi skrzydłami,
Jak turkus roztopiony, już drży gwiazd iskrami.
Tu nie dąb, ale dramat szumi z nad mogiły,
Nie gwar lipy tu szemrze — to jest epopeja;
Nie brzoza — to elegia; księżyc jak nadzieja
Wstaje; ich chór mi szumi imię Polski miłej!...
I stałem zczarowany na górze wyniosłej,
Aż mię skrzydła mej pieśni do Polski odniosły!...

TALIA.

SZKIC ULOTNY.

„W gorzkiej czarze szumi piana,
„Na tę czarę, jeszcze kwiatów.“...
(Poezye studenta. T. IV.)

Mira que el amor es fuerte...
Vida no me seas molesta
Mira que solo te resta
Para — genarte — perderte...
(Glosa de S. Teresa.)

I.

Czegoś oczki zapłakała
Moja piękna panieneczko?
Czy cię mama wyłajała?...
. . . . . .
Oj nie to to, nie to, to, to,
Co mnie niespokojną czyni.
(Piosenka.)

Maudit soit quiconque a inventé la famille....
X. X. X.

— No cóż, czy jeszcze gniewasz się na mnie moja Klotyldo!... mówił po długim milczeniu Henryk, dorzucając drzew do komina, na którym już płonął błękitny płomyk, choć ledwo kilka listków jesień ozłociła na dworze, a babie lata uganiały jeszcze w przestrzeniach stygnącego błękitu, i dziki krzyk żurawi gubił się tęsknie po mglistych, ołowianych chmurach....

— A za co? za to, żem oddał świadectwo prawdzie, — — dodał po chwili z uśmiechem, w którym było jednak nieco zakłopotania bardzo zakochanego człowieka.

Czy nie? — No! moje dziecko! — tu po-

całował ją w czoło, — gniew piękności szkodzi!...

Co za wielka historya! byłaś na balu maskowym u księżnej X*., byłaś już bez maski, miałaś ubiór Lawinii, córki boskiego Tyciana. — Byłaś prawdziwie jego córką — a piękniejszą jak obraz jego córki. — Trzeba być, jak ty, artystką, żeby ten ubiór wybrać, i piękną jak ty, żeby w nim tak wyglądać....

Dosłuchajże mej obrony cierpliwie.

W ten sam wieczór wróciłem ze wsi — stęskniony za tobą — dowiedziawszy się o balu, wziąłem domino — pojechałem — i ujrzawszy cię tak piękną, zamyśloną, pełną gracyi, poezyi i dowcipu — i pełną godności w tłumie wielbicieli, w tej atmosferze światła i kwiatów, muzyki i woni, wcisnąłem się w tłum i zaszedłszy ukradkiem, pocałowałem cię w prześliczne ramiona twoje — ot — tak jak teraz — i cóż w tem tak potwornego? nie chciałem cię trapić niepewnością. — Z gniewem, którym spłonęłaś jak anioł zemsty, zerwałaś się — zdarłaś mi maskę — i — zamiast mi wrócić mój pocałunek — wyjechałaś z balu — i już trzeci dzień karzesz mnie za tę pustą chwilę. — Czy byłabyś zdolną pomyśleć, żem miał chwilę powątpiewania, zazdrości, — żem cię chciał ukarać?... nie — tak nie myślisz. — —

Po twarzy Klotyldy przeszło coś nakształt walki — i ktoś mniej kochający dostrzegłby był, że się już dawno nie gniewała, że tęskniła

za dawną harmonią, ale pod wpływem pewnej myśli tajemniczej trzymała się w stanowisku zaczepno odpornem....

Trzy lata — mówił, już nieco gorzko Henryk, siadłszy na podnóżku przy jej krześle, nierad, że jak zwykle nie bawi się jego włosami, a głaszcze tylko spoczywającego obok czarnego terrneuwa, — trzy lata szczęścia zbiegło nam jak trzy godzin w raju — nie widziałem chmurki na twojem czole, a jeźlim widział jaką, tom ją umiał z niego zcałować, i ty moje odżegnać umiałaś... a dziś? — czyż ta bagatela miałaby... czy ten rys twego charakteru byłby mi dotąd uszedł nieznany?...

Nie wzięłaś przecie mojej dłuższej rozmowy z Mimozą za.... Prawda, lubię jej rozmowę, — ale moja droga, rozmowa poety z każdą kobietą wygląda dla kogoś, co nie zna ludzi, na to, jak gdyby się w niej kochał, a tylko z tą, w której się prawdziwie kocha, rozmawia jak gdyby ją chciał otruć i nienawidził ją namiętnie....

Czy może jaki inny powód?... nie! nie! nie! ty nie możesz pamiętać przykrości i przykrością jej odpłacać, raptem, wprost przeciwną istotą stać się nie mogłaś... nie! to byłoby kamień cisnąć w niebieskie, ciche zwierciadło twego ideału.... Klotyldo moja! jeden twój uśmiech wynagradzał mi tyle! — tyle smutnej przeszłości....

Przypomnij sobie poznanie nasze. — Ten

wieczór podwójnie mi drogi, kiedy po raz pierwszy grano mój dramat. Wtedy widziałem cię raz pierwszy — na twarzy twojej czytałem wrażenia duszy, którą w tej chwili ukochałem nad wszystkie szały młodości... i puchar rozkoszy wszystkich rzuciłem ci pod nogi; — wywołanemu przez publiczność rzuciłaś wieniec — mam go dotąd — potem nie widziałem cię lat dwa — próżno chciałem cię śledzić — byłem zależny, rok brakował mi do pełnoletności. — W tym długim roku czujesz — czym myślał o tobie. — —

Ty wtedy uczyłaś twego krewnego idiotę — jak gdyby Miranda małego Kalibana,... o! nie zapomnę, gdy mi opowiadano cierpliwość twoją i przytomność. — Pomnę, jak przy nauce francuzkiego języka ten mały złośnik łżył cię i krzyczał: „złaś! głupiaś!“ a ty z anielskim uśmiechem zapytywałaś go, powiedzże mi jak to się mówi po francuzku?... I w końcu jak koncha do słońca, pod promieniem twej duszy, otwarły się władze martwe dziecka, miłością ożywione....

Nie bierz mi za złe tych wspomnień, niech nie ubliżają twojej skromności — potrzeba mi ich — bardzo potrzeba!...

Raz spostrzegłem obraz, który mnie zajął formą i pomysłem. — Młody muzyk, suchotnik, grający noc, ostatnią swej wiosny — lampa jak on dogorywa o północy — on przestał grać, ostatnie gierlandy tonów jego boskich,

splątane w wieńce tęczowe, konają zmartwychwstania skonem — a w ciszy nocnej, marzącemu o sławie dumnemu samotnikowi, siedząc w kącie, w czarnem, gotyckiem krześle hebanowem, śmierć dąje brawo kościstemi dłoniami, z uśmiechem mecenasa!... Ten obraz był twój. — Rok mój dobiegł — byłem sierotą — miałem wolność, smutny dodatek sieroctwa — wolny, jak ptak, samotny i dziki jak ptak, poleciałem za tobą — długo śledziłem cię daremnie — kierowałaś od dzieciństwa prawie łódką twoją sama — roztropnie — ale tajemniczo — a jak świat mówił ekscentrycznie — głównym przymiotem twoim było, że nie umiałaś znieść niewoli ducha — a raczej że umiałaś ją niezneść — tego ci nieprzebaczono — jam to przeczuł Klotyldo moja! Sierota, co sobie wszystko winna, musi mieć dumę swego sieroctwa, zachować sobie jedyną jego korzyść: niezawisłość — i z siebie tylko sobie sprawę winna, bo bardziej niż ktokolwiek sama za siebie odpowiada i pokutuje; biada jej, gdy przy tem poczucie godności osobistej nie jest jej aniołem stróżem. — Ciebie strzegła ona do końca — pamiętasz, po tych dwóch leciech mego szukania, wchodzę w galeryi Drezdeńskiej do przybytku Sykstyny — nie było w nim nikogo prócz ciebie — siedziałaś na wywyższeniu i kopiowałaś główki dwóch aniołków dolnych, z zadumą na czole dziewczęcem, pełnem tęsknoty i zamyślenia: ta sama błękitna

przepaska była na włosach twoich — i ta bransoletka — i ten biały fartuszek w czarne arabeski... pamiętasz?... Stanąłem za tobą — wstrzymałem oddech — nie wiem co mi się działo — ty przeczuciem obejrzałaś się, upuściłaś pędzel — lekki krzyk ci uleciał — a po chwili krótkiej, nie wiem, czy długiej, w obec Sykstyny, zamieniliśmy pierścionki, a Ona z majestatem dziewiczości i macierzyństwa, zdała się błogosławić zaręczynom dwojga tułaczych, samotnych artystów, kochanków ideału, którzy sobie podali ręce — by iść mniej samotnie i pewniej drogą życia. — —

Tu Klotylda ścisnęła dłoń jego, z ledwie stłumionem westchnieniem. — —

— Przypomnij sobie — mówił dalej — nasze poranki Weneckie i noce Neapolitańskie — ślub nasz cichy w wiejskim kościołku Tatrzańskim, gdzie powtórzyliśmy słowa przysięgi, która oddawna związała nieśmiertelnie nasze dusze!... Wspomnij ten miesiąc w Kościelisku, burzę w Morskim oku i pierwsze lato pod temi lipami, tę długą prześliczną jesień i zimę przy tym samym prastarym kominie spędzoną — kiedy uwierzyłaś, że nie żądza sławy, ale ty masz w sercu mem pierwszeństwo — a świerszcz, dawny przyjaciel mej samotności, z kąta swego zazdrościł tobie....

Jakto?... to wszystko cię nie poruszy, nie rozbroi?... — dodał po chwili zamyślenia, patrząc w jej oczy — aż chodząc dużemi kro-

kami, rzekł: — No więc zadaj mi jaką pokutę — po której będzie z nami znowu jak dawniej — i usiłował żartować — ale usiłował tylko.

— Dobrze! — odrzekła, wznosząc głowę jasnowłosą, z źle ukrytą radością — pokutą twoją będzie — żebyś coś dla mnie napisał — a wtedy....

— Zgoda!... zawołał Henryk.

— O — zobaczemy.

— Zgoda! zgoda! — zawołał — tak dawno nic nie robiłem — napiszę ci jaką próbę dyalogu i jeszcze co drugiego — wybierzesz co zechcesz — zamykam się na drugie trzy dni. — Daj mi tymczasem tę bransoletkę Przez ten czas — pomyśl o mnie, rzekł całując jej czoło, a po chwili dodał wracając: — tylko zmiłuj się, z suknią nie przysuwaj się za blizko do kominą — a uważaj żeby się nasza Ernestynka nie przeziębiła — i rozmyśl rzecz dobrze! — dodał z przyciskiem — żebym ja nie umilkł! — i zamknął drzwi za sobą. — —

— Henryku! mój drogi Henryku!... zawołała zrywając się jak strwożone ptaszę — i jednym rzutem była przy drzwiach — ale drzwi były zamknięte, a tylko odgłos coraz dalszy kroków gubił się po komnatach znikając....

II.

PRÓBA DYALOGU.

(W JEDNEJ ODSŁONIE.)

De omnibus et quibusdam

OSOBY:

PÓŁKOWNIKOWA.
EDMUND, jej syn.
OLGA, młoda wdowa.

La troppo cara imagine al mi,
Non vedo altra che ti,
Ti sola sento.....

Romanza.

Pokój półkownikowej — drzwi otwarte dają widok na ogród i okolicę wiejską.

Półkownikowa. — Edmund.

Półkownikowa.

Dzień dobry, moje dziecko; czy wypocząłeś dobrze, po twojej długiej podróży — nie mogłam długo usnąć i oswoić się, że cię mam znowu....

(Całuje go w głowę.)

Edmund.

I mnie było tak samo — każdy kątek przypominał mi chwilę z życia, i starania i miłość twoją, droga mamo — w tych wszystkich podróżach, które mnie przesyciły, stęskniłem się do tych drogich miejsc, których już nie porzucę. — —

Półkownikowa.

O! to się pokaże — dotąd nie zbawiłaby mnie wiara moja....

Edmund.

Zasłużyłem na to — ale dziś znam ten świat, którego tak pragnąłem, i ludzi także —

wyznaję, że ich mam dosyć — lepszych ani gorszych, mędrszych ani głupszych już nie poznam — do tego smutno wyrzec — ale ty mamo, jesteś dziś jedynym moim przyjacielem — miałem ich za wiele — a tylko jednego mieć można. —

Półkownikowa.

Więc takie wrażenia przynosisz z szerokiego świata, który zwiedziłeś chciwie i badawczo? moje drogie dziecię....

Edmund.

Za tobą zawsze tęskniłem, droga mamo — (klęka u jej nóg) ty w wszystkich burzach byłaś moim aniołem stróżem. Tobie odemnie życie się należy. — —

Półkownikowa.

O! mój chłopcze, aniołowie stróże mogą być tylko młodzi....

Edmund.

(Chłodno.)

A — rozumiem. —

Półkownikowa.

Mój synu, nie krępowałam cię nigdy i w niczem, nie byłam egoistką, wcześnie uczyłam cię myśleć i chcieć — ufając, że reszty dopełni uczucie twoje — i nie zawiodłam się — ufność i miłość twoja są dziś moją nadgrodą — ale nie pojmuję, jak w sercu twojem, tyle gorącem i młodem, dotąd nie powstała potrzeba jakiegoś wyłącznego uczucia. — Wiesz, że cię mam jednego; jakikolwiek byłby twój wybór, byle mi dał rękojmią twej pomyślności, pobłogosławiłabym go całą duszą.

Edmund.

Tak, tylko dziś braknie do tego małej rzeczy, to jest, żebym nad moją matkę nikogo nie mógł i nie chciał ukochać — a do tego — wybacz mi, (całując ją w ręce), ale nie wierzę niestety, by ideały chodziły w spodnicach. — —

Półkownikowa.

Złośniku, możesz być ukarany. —

Edmund.

Widziałem tyle — tyle kobiet — bywałem bałamucony i bałamuciłem się, na szczęście nigdy nie bałamuciłem nikogo, dla tego trochę szacunku dla siebie jest mi najmilszą z pozostałych trofei — czułem nieraz potrzebę kochania, tęsknotę za czemś wyższem, co każdy człowiek niezezwierzęcony zwie ideałem swoim, ale prawdziwie i silnie nigdy nie kochałem — czasem żartowałem z uczuciem i z uczucia, i dziś za pokutę jestem skeptykiem, a choć tak młody, starym racyonalistą! — a! tak to tak w naszej epoce: nie wierzę w spotkanie tego, co niegdyś ideałem moim marzyłem — wina może nie całkiem moja — pragnę nadal żyć

dla ciebie matko, służyć społeczeństwu jak i czem będzie można, w nauce znaleść resztę wielką niezapełnionych głębi — ale uczuciu tego, co dziś jako syn dla ciebie czuję, nic nie zrówna — a! dotąd po całych latach zostawiałem cię samą — odtąd pragnę być sługą i synem twoim.

Półkownikowa.

Dziecko twego ojca!

(po chwili)

Niewiara twoja mnie smuci, nie wierzysz w uczucie kobiety; gdyby twój ojciec powstał, rozbiłby twoją niewiarę.

Edmund.

Tak — ale prócz ciebie matko, nie widziałem nikogo, podobnej nawet.

Półkownikowa.

Wymagacie bardzo wiele, nieobrachowawszy się z sobą; nie wierzycie w trwałość uczucia kobiecego, bo w własną nie zawsze uwierzyć możecie — ale to rzecz przeznaczenia.

Edmund.

(Spostrzega list.)

Co to za pismo?

Półkownikowa.

(Patrząc na niego z uwagą.)

To — zapomniałam ci powiedzieć — ach! i cóż dziwnego, że po długich dwóch latach

niewidzenia niejedno wyszło mi z myśli, gdym ciebie obaczyła — to nowa znajomość, a razem bardzo stara.

Edmund.

Jakto? kobieta wiekowa miałaby to delikatne pismo?

Półkownikowa.

Bynajmniej — stara bo ufna, nie tak dawna, jak serdeczna. — Wiesz, jak trudne w moim wieku nowe znajomości: tej zimy wszelako natrafiłam na młodą kobietę, która zainteresowała mnie i wzbudziła moje współczucie wyjątkowością swego położenia, — przylgnęła do mnie i zaufała mi jakoś mimowolnie, coraz więcej przywięzywała się do mnie, i nie wiem jak się stało, że była moim codziennym gościem — jaki powab mógł ten młody umysł znaleść w towarzystwie starej i znużonej jak ja kobiety — nie wiem — nie mogłam przypisać tego memu rozumowi — przypisałam więc sercu, które się sercem płaci — i skończyło się na tem, że mnie matką nazwała, a ja w końcu bez niej być nie mogłam. —

Edmund.

Mamo! jakże dobrą jesteś i jak ona dobrą być musi, kiedy cię tak pokochała i przeczuła. —

Półkownikowa.

(Z obawą.)

Gdym opuszczała na lato stolicę, prosiła mnie, bym jej na czas jakiś do siebie przyjechać pozwoliła, — i pisze mi, że lada dzień się wybiera; list się spóźnił i może być lada chwila — ale może to twoją mizantropią razi, — gotowam odprosić — by żadnej przykrości....

Edmund.

(Prędko.)

O nie! nie! droga mamo, któżby nie pragnął poznać miłej i ładnej Polki?...

Półkownikowa.

To dziwne — wszak każde odwiedziny były ci natrętne? — przejrzyj list a poznasz choć profil tej duszy....

Edmund.

(Czyta.)

„Droga Pani! nabyłam prawa do twego ser-
„ca, ty do mnie całej. Z poczciwego dziecka
„podniosłaś mnie do godności polskiej kobiety,
„czuję, com tobie winna — i dla tego mówię
„otwarcie jak dziecko z tobą, bo nie mam ni-
„kogo prócz ciebie. — Jednostajność miasta,
„świata i jego form zmęczyła mnie już nadto,
„mam mnóstwo wielbicieli, ani jednego czło-
„wieka, potrzebująca choć jednego serca, coby
„mnie jak twoje po macierzyńsku wsparło i
„przygarnęło; ośmielam się korzystać z twego

„pozwolenia, droga pani, i przybywam na część
„lata. — Moja konna jazda, co mi proszę wy-
„baczyć, zrobiła wielkie sukcesa — zresztą nic
„godnego wzmianki, zestarzałam się bardzo.
„Czuje się bardzo osamotniona, ale pomówimy
„o tem nad tym Bohem rusałczanym, o któ-
„rym tyle marzyłam!!..."

(Po chwili)

Moja mamo, daruj mi ten list!...

Półkownikowa.

Ho! ho! ho! cóż się to z nami dzieje? Pan, co nie wierzyłeś w spotkanie kobiety sobie podobnej.... Ha! kiedy tak, to powiem ci, że was od dawna miałam na myśli.

Edmund.

(Chłodno.)

O, co w to — to nie wierzę — list każdej prawie kobiety jest fatą morganą jej istoty — mogę wiele powabu znaleść w jej obcowaniu — ale kochać?... ha! ha!... ja zakochany, marzący po księżycu!... — tylko spotkał coś zupełnie nowego, niewidzianego dotąd....

Półkownikowa.

Jesteś poetycznym racyonalistą, to ma dwie swoje strony. — Los jej równie oryginalny jak życie. — Szesnastoletnią dziewczyną wydana przez ojca despotę za starca.

Edmund.

Co za zbrodnia!

Półkownikowa.

Za starca, z tradycyą ośmnastego wieku, który pragnął jak najdłużej dzieckiem ją zachować, dogadzał jej i nadskakiwał, jak dziadek wnuczce. — W miesiąc po ślubie umarł jej ojciec, w rok utraciła męża, przy którym płakała, jak wnuczka za dziadkiem, bo dobrym był dla niej, i umarł, zostawiając ją panią wielkiego imienia i majątku — których nie potrzebowała, mając własne. — Piękna, szlachetna, w pączku już miała umysł niepospolity, miała już paść ofiarą pochlebstw, oszczerstw i chciwości ludzkiej, kiedy ją spotkałam, a wkrótce pod pozorem żałoby obrała na czas jakiś dom mój za mieszkanie. Powiedziano, że jest zakochaną, gdy się usunęła od ludzi. — Korzystając z tego, starałam się nieraz podsunąć jej dobrą książkę, obudzić potrzebę pracy i celu życia, poczucie powinności — to wszystko miała już z natury, tylko potrąciłam te strony a czysto oddźwiękły — polubiła naukę, ukochała literaturę naszą i poetów, poczuła się kobietą — Polką. — Z całą siłą obudziła się w niej miłość ojczyzny, którą każda z nas podwójnie czuje, aż do zrzucenia jarzma, każda na świat przynosi i z życiem tylko dzieciom przekazuje — bo bez tego, jak bez oddychania, żyć niepodobna.

Edmund.

Matko! jak ciebie nie miłować!...

Półkownikowa.

O tobie nie mówiłam jej nigdy — zaledwo wie, że mam syna, co podróżuje — ale gdy cię tu zastanie — — nie pomyślałam nad tem... niepodobna byś znowu odjeżdżał — tyś mi przed wszystkiemi drogi!...

Edmund.

(Całuje ją w rękę i zamyśla się.)

Zapewne — to niepodobna — toby jej mogło szkodzić... ale — gdyby naprzykład — (myśli) a!... moja mamo! nęci mnie jeden pomysł — wiesz, żem skeptyk — chcąc osądzić i przeniknąć jej istotę, udam, żem ślepy — — nie zwróci na mnie uwagi, i tak poznam ją najlepiej....

Półkownikowa.

Nie pozwalam...

Edmund.

Przebiorę się za dawnego nauczyciela tej szkółki, który ociemniał i tu z waszej łaski żyje — wybornie!

Półkownikowa.

Nie pozwalam! z takiemi rzeczami nie godzi się żartować, to mogłoby mi jej serce odstręczyć. —

Edmund.

Ale nie! nie! mamo! nigdy nie zrobiłem ci żadnej przykrości, tak rzadko o co prosiłem —

to pierwszy z moich figlów, tak mi się plan mój składa... żalisz się, żem smutny, przysięgam, że wesół będę jak nigdy — lecz tylko na ten raz... mamo droga....

Półkownikowa.

Ha, widzę, żem słabą matką — wymogłeś na mnie, lecz pod warunkiem, by odpowiedzialność, w razie złych skutków, cała moją była.... Ten pierścionek oddała mi dawniej, zapewniając, że go bez mojej rady nikomu nie odda — rozumiemy się?...

Edmund.

Przypuśćmy — więc ja — zakochany, jak upiór rozmawiający z księżycem nad wodospadami... błagający, by przeszły przez płomienie serca mego... a! to wyśmienite! —

Półkownikowa.

Może to mieć i poważną stronę swoją, dla tego jedynie przystaję....

(Słychać trąbkę pocztową.)

Edmund.

To ona!... coś dziwnego mi się dzieje!... jak sarna wyskoczyła z pojazdu — po raz pierwszy zbiegnąć i ręki jej podać nie mogę.

Półkownikowa.

Ja zejdę, ty idź do siebie.

Edmund.

(Przy oknie)

Zaraz — co za gracya!... taka niepospolita powierzchowność....

Półkownikowa.

Idźże!...

Edmund.

Zaraz — zaraz.

(Odchodzi.)

Olga.

(Rzucając się na szyję Półkownikowej)

A! witajcie!

Półkownikowa.

Moja droga! dziecko ty moje!

Olga.

Rok minął — droga pani! i ja tutaj? — nie wierzę sobie sama, tak tu uroczo w tej ustroni, że dotąd snem mi się zdaje. —

Półkownikowa.

Nie mogę się tobą nacieszyć. —

Olga.

Moja dobra matko! mogę cię tak nazwać... boś ty mnie jedna w świecie nauczyła patrzeć tam! (wskazuje niebo) i patrzeć tu! (wskazuje serce). Tyś zastąpiła mi matkę po duchu.

Półkownikowa.

Nie moje dziecię, zastępywałam — zastępywać matkę można, zastąpić ją — nigdy! czuję to, bo i mnie ją zastępywano, ale mi jej nikt nie zastąpił — ale spocznij — rozgość się nieco — to gorąco musiało cię bardzo znużyć.

Olga.

O nie — w nocy spałam wybornie w pojeździe, a do dnia obudziłam się już tu, nad samym Bohem, którego oczerety ozłacał właśnie wschód słońca... wtedy pojęłam słowa poety: „I mnie matką Ukraina.“

(Siadają.)

Półkownikowa.

Dopiero dziś doszedł mnie list twój — piszesz mi, żeś się zestarzała — moje ty stare dziecko — wyglądasz mi jak pączek leśny...

Olga.

Bogu dzięki, że nie ze szklarni miejskich, — od czasu jak zaczęłam myśleć nad sobą, wszystko co mnie bawiło, zaczęło mnie nudzić, świetność balów i stroje straciły swoje powaby, wizyty męczyły mnie, szczebiotanie płytkich próżniaków stało mi się nieznośne — jednej operze dochowałam wiary — świat ogadał mnie, żem zakochana — w istocie zakochałam się w tajemnicach myśli i natury i zatęskniłam do szlachetniejszego świata... ciekawość przyjaciółek i domysły konkurentów wypłoszyły mnie z miasta, tu w ciszy będę dalej kształcić się, myśleć i pracować.

Półkownikowa.

Ostrożnie z ogniem — uważaj, byś nie straciła głównego wdzięku i nitki w życiu, jego celu — byś nie zasłabła na literatkę z profesyi; uważam, że pewne brawowanie wyrobiło się w tobie — to mnie trwoży — cel w naszem życiu główny jest: uszczęśliwiając być szczęśliwą — reszta pomocą, ozdobą i środkiem w życiu — uważaj, by w głębinach wiedzy, której szlachetny głód cię pali, nie zatopić wiośnianych instynktów serca, które tak żywo czuje, które kiedyś — ukocha....

Olga.

Kiedyś... dziwnie mi to wygląda — dziś dalszam od tego niż kiedykolwiek — rękę oddałam bez namysłu memu mężowi, przywiązałam się do niego, opłakałam go serdecznie, ale kochałam go tylko przez wdzięczność, a tego wielkiego uczucia, o jakiem myślałam, nie czułam nigdy — dziś nie wierzę, bym je kiedy czuć mogła (z zamyśleniem) — może mnie świat już niegodną tego uczynił.... Ale to dziki temat — co to za książka?...

Półkownikowa.

To — podróż po Tatrach, przez mego syna. —

Olga.

Syna?...

Półkownikowa.

Tak — ten latawiec od ukończenia szkół podróżuje i przesyła mi szkice swoich wrażeń; najmilsza wiadomość jednak, jaką mi przesłał, jest ta, że im dłużej świat zwiedza, tem szczęśliwszy i dumniejszy, że jest Polakiem.

Olga.

O — widać, że jest synem swojej matki — pozwoli pani ten zeszyt — tyle marzyłam o Tatrach — a wstydzę się, że ich dotąd nie widziałam — (przeglądając) co za łatwość, co za obrazowość — wszędzie — małym środkiem osięga cel wielki. — Zdaje mi się, że słyszę szum sosen w chmurach, zestrojony z szumem wodospadów, grzmiących po skałach, w dymiące otchłanie — przepiszę sobie ten ustęp, szkoda prawdziwie, że to dyletant... a! ta dyletanterya!...

(Przegląda dalej — wtem odzywa się w przyległym pokoju głos fortepianu.)

Olga.

Co to? znajome mi akordy — tyle czucia — pani ma artystę w domu?

Półkownikowa.

O — nic mniej — to biedny człowiek — ślepy. —

Olga.

Ślepy!...

Półkownikowa.

(Zmieszana.)

Tak — ubogi chłopiec, który w lat kilka, ukończywszy nauki, pracował nad dziećmi wiejskiemi w naszej szkółce, a czytając przytem po nocach, wzrok utracił. — Niedawno ociemniał, a jako przyjaciel i współuczeń mego syna przyjął gościnność w jego domu.

Olga.

O! Biedny człowiek — te akordy — to niepospolity artysta:

(Śpiew męzki.)

Głos.

O gdyby oczy moje
Mogły powiedzieć ci,
Ile cię kocham! i twoje
Tak odzwierciedlić mi,
Padłbym jak ranne ptaszę u twych nóg!

Olga.

Ta pieśń... jedna z moich najulubieńszych!... nie śpiewałam jej od utraty mego męża — ano — spróbuję ja drugą strofę — czy go to zadziwi?... poznamy się w pieśni....

(Słychać ciągle akompaniament, przy końcu śpiewa Olga:)

O mój miły, gdybym śmiała
Tak w oczy spojrzeć ci,
Łza by moja mnie wydała,
A znasz takie łzy?...
Łzy, które widzi anioł stróż i Bóg!...
(Akompaniament coraz rzewnieje.)

Półkownikowa.

Prześlicznie moja droga — wyobrażam sobie jego zdziwienie — odśpiewałaś to jak skowronek, i oczarować go musiałaś.

Olga.
(Wzruszona.)
Teraz strofy podwójne.

(Dwa głosy)

Razem.

A więc chodźmy dłonią w dłoni,
Przez świat wielki, przez to życie,
Wieńce gwiazd czujem na skroni
Jaśniejszych, jak na błękicie. . .

Przez odmęty burz przepłyniem
Jako anioł za aniołem,
Jeźli zginiem, to wraz zginiem,
Jako sokół za sokołem....

A nad nami anioł wiosny
Skrzydeł swoich cień roztoczy,
O! dzień jasny! dzień rozkoszny!
Niemą wieczność, patrz mi w oczy!...

Głos.

Patrz mi w oczy!...
(Akordy zwolna ustają.)

Olga.

Nie mógł mnie tu nikt milej przywitać, jak ta piosenka — niegdyś nuciłam ją dzieckiem, nierozumiejąc jej prawie, dziś śpiewałam z jakąś dziwną tęsknotą... z uczuciem jakiejś próżni w sobie... przeszłość moja już za mną. — —

Półkownikowa.

Pomówiemy o tem — chodź do ogrodu — pokażę ci z blizka nasz Boh, a Bobowi naszą Rusałkę....

Olga.

Chodźmy — ale pani pozwoli tę książkę...
(Odchodzą.)

Ogród nad Bohem — w dali widok rozległy na stepy — wkoło stare drzewa — z boku chłodnik zielony. — Olga w chłodniku sama — czyta mocno zajęta — naprzeciw ukazuje się wsparty na lasce Edmund i niewidziany wpatruje się w nią.

Edmund.
(Po chwili.)
W istocie — trzebaby być ślepym... (prze-

ciera oczy) co mi jest? czy to ja, czy nie ja... to boska istota!...

Olga.

(Przestaje czytać.)

Dziwne — wczoraj jeszcze skończyłam tę podróż, a dziś znowu ją zaczęłam — ależ ta obrazowość — te myśli, to talent granitowy, w którym są żyły prawdziwego geniuszu.... Co za zarozumiałość! zdaje mi się, jakby dusza bardzo mi pokrewna ją utworzyła! pragnęłabym go kiedyś... spotkać! to mój człowiek — jeżeli nie mam zbytku dobrej opinii o sobie, to tego jednego baćbym się powinna, — czuję niebezpieczeństwo. — — Coraz smutniej mi na tym świecie, pełnym zgiełku i szumu — w sercu pusto — ta potrzeba kochania czegoś, przywiązania się, jest klęską, a zarazem rozkoszą każdej kobiety... natura tego powoju, co sam nie może rość ku niebu....

(Wychodzi Edmund, niby szukając drogi laseczką.)

Ach! to ten nieszczęśliwy! jaki on piękny... i on ślepy!... czegóżbym nie uczyniła, by przewidział... te włosy tak mu na to czoło spadają... co za szlachetna postać... on błądzi... trzeba mu pomódz —

(Biegnie naprzeciw i podaje mu rękę,)

Tędy, tędy — ja panu pomogę.

Edmund.

Nieba — ten głos — ta ręka — przepadłem.... (Głośno) Z kim mówię, daruje pani.

Olga.

Wiem, że zadziwiam pana. — To nic — to siostra, chcąca pomódz bliźniemu. Jestem przyjaciółką, choć młodszą, Półkownikowej, którą uwielbiam, kocham i szanuję jak matkę, wiem od niej o panu, jego pracach i nieszczęściu... boleję nad niedolą użytecznego ziomka — a mam już dla pana wdzięczność za miłą chwilę, którą mi sprawiłeś.

Edmund.

Ja — pani?

Olga.

Tak — tą pieśnią, którą znałam i lubię od dawna.

Edmund.

.To głos pani mi pomógł — przemówił mi do duszy tak, że się w niej zrobiło jasno jak o świcie zorzy — wybacz pani.

Olga.

(Z wzruszeniem.)

Pan niemniej wrażenia uczyniłeś na mnie, — w śpiewie przeczułam duszę, która musiała wiele cierpieć, albo spotykać cierpienie, widzę pana raz pierwszy, a to współczucie tak nas zbliża, że zdaje mi się znać pana. — Oddałabym panu moje oczy, byleś widział....

Edmund.

(Zmięszany.)

Pani!... żart ten tylko tobie przebaczam.

Olga.

Nie żartuję w ten sposób, powtarzam, żebym je panu oddała, byleś mógł widzieć... (hamując się) byłeś mógł... uczyć dalej dzieci, to taki wielki zawód — oto chłodnik, tu ławka — ale pan przyszedłeś tu po ciszę — a ja zawadzam — nim odejdę, uzbieram panu trochę kwiatów —

(Odchodzi i wraca z bukietem.)

Pan musi je znać po woni... to fiołek — to konwalia — to jasmin — to róża.

Edmund.

O! znam kolory tych kwiatów — oślepłem późno — dzięki! ale niech mi pani mówi o naturze — głos pani tak mile mnie przenika....

Olga.

(Siada przy nim.)

Dobrze — w naturze cicho jak w nas.

Edmund.

Tak — choć nieraz w głębi śpi burza. —

Olga.

Ani chmurki na niebie — słońce już wysoko — chór skrzydlaty odzywa się wesoło — w błękitach nad stepami dzwonią skowronki,

drzewa stoją w cichości — nad falistą gierlandą kwiatów drży ruchoma gierlanda motyli... to cisza chwili południowej — tylko dzwon cerkiewny ozwał się nad stepami. I Boh nasz rusałczany szumi i wije się wśród dzikich oczeretów....

Edmund.

Ten daleki szum Bohu, co spada z pod młynka, przypomina mi Dunajec w Tatrach moich....

Olga.

Pan zna Tatry? — tylko co pożarłam wspomnienia po nich przez syna Pułkownikowej — niech mi pan mówi o Tatrach....

Edmund.

Moje słowo za ciasną ramą do tych obrazów. —

Olga.

Zna pan pięć stawów? jaki jest charakter ich?...

Edmund.

Niech sobie pani wyobrazi przyszłą dolinę Jozafat — przestwór dzikości — w ogromnej przestrzeni, złożonej ze skał rozwalonych — poszarpanych w harmonijnym nieładzie chaosu, — drzewo, ni ptak, ni chwast nie żyje w tej dolinie grozy śmiertelnej — na bryłach bryły, a na bryłach bryły na bryłach, wielkie, szero-

kie, jak gruzy Babelu, jakby czekały, by myśl jaką na nich wyryć... wśród tych chaotycznych przestrzeni kamiennych pięć zwierciadlanych stawów, czystych, jak pierwsza miłość, cichych, jak prawe sumienie — tylko skały i gwiazdy w nich kąpią czoła — czasem jaki orzeł nadpłynie błękitem, krzyknie przerażony — i znika w nieskończonościach bezbrzeżnych, zkąd żeglował — stawy te łączą się z sobą, leżąc jeden niżej drugiego — aż masa wód ich razem połączona grzmi po stromych biodrach skał, jak z wieżyc odwiecznych, w dymiącą otchłań Siklawy; — o ile w górze nad spadem dziko i martwo, o tyle spadając na dół, rozbija się piana o puchy zieloności i górskich kwiatów, zkąd pędzi wąwozem kwiecistym dalej niewstrzymana, jak myśl ze świata materyi w świat ducha — w każdej z tęcz tego wodospadu czuć arcydzieło Stwórcy, któremu słowo doczesną mogiłą....

Olga.

(Chwytając jego rękę.)

Czuję! widzę!... ależ... podobny obraz znalazłam w tych podróżach.

Edmund.

(Zmięszany.)

Pisaliśmy je prawie razem — jesteśmy tak zbliżeni, że nas za jednego człowieka brać można.

Olga.

Szczęśliwi!... (po pauzie) I pan straciłeś oczy! — czyż nie lepiej, gdybym ja je była straciła?

Edmund.

Co za bluźnierstwo! któż bardziej, jak kobieta z duszą pani, potrzebny jest dzisiejszemu społeczeństwu? skoro pani spotka człowieka... który... cię będzie godzien...

Olga.

(Wydaje lekki krzyk i zasłania twarz rękoma.)

A!.... co mi jest... oszalałam?... czy to sen?... straszny sen! stało się!...

(Upuszcza książkę, którą Edmund zrazu chce podnieść, raptem ocknąwszy się udaje, że szuka po ziemi, znajduje i oddaje.)

Olga.

(Sucho i nieprzytomnie.)

Dzięki. — — Pan już dawno przestał czytać? —

(Oboje nieprzytomni coraz bardziej.)

Edmund.

Od — kilku — lat....

Olga.

W jakim kierunku pan głównie dla siebie pracowałeś?

Edmund.

Z powołania byłem nauczycielem — obok

tego dzieje świata zbiorowe miały dla mnie demoniczny powab — starałem się przytem zawsze poczuwać stanowisko Polski w dziejach powszechnych — później wielki kosmos natury dał mi do tego tło w naukach przyrodzonych, filozofia życia dorzuciła kilka cichych pewników, sztuka kilka kwiatów, za któremi śledząc, rzuciłem się namiętnie w świat grecki, na końcu którego czarowała mnie ostatnia... postać nieśmiertelnego Byrona... ale wypłynąłem i ztamtąd, ukochałem nadewszystko literaturę i dzieje nasze, bacząc na ich stanowisko i powołanie w przyszłości. ...

Olga.

A średnie wieki miały dla pana wiele powabu?...

Edmund.

Tak — ale mimo bohaterskości ich, mimo myśli, co powlekła tłumy zachodu pod mury Jeruzalem, mimo tumów gotyckich, rycerstwa, wdzięku dam... (ile że pani widzieć nie mogę...) mimo ich czaru całego, nie pragnąłbym ich powrotu.

Olga.

A — mnie szkoda średnich wieków, bo je ukochałam.

Edmund.

Może pani doczeka nowych bohaterów — ale cóż nam zostało z tej epoki świetnej?

Olga.

Choćby Tasso!

Edmund.

O wdzięku niewieści! Pani przegląda jakąś drugą książkę?...

Olga.

Keapseak z kobietami Shakespeara.

Edmund.

Lękam się Keapseaków dla pań.

Olga.

Jakto?

Edmund.

Wpatrując się w te typy idealizowane, młode dusze pozbywają się własnej indiwidualności, woni i pieśni przyrodzonej, i czasem dochodzą aż do artystycznej kokieteryi....

Olga.

Nie poczuwam się do tego — gdyby pan miał oczy, widziałby pan, żem nie straciła typu, jaki mi Pan Bóg dał, — Keapseaki rzadko mi dogadzają, całe moje szczęście, że czytam tego wielkiego Williama, którego trzymam na kolanach, choć taki wielki.

Edmund.

Jakie postacie zawiera ten Keapseak?

Olga.

Zaczyna od Dziewicy Orleańskiej.

Edmund.

Podziwiam epopeję dramatyczną Henryków, ale Joanny po angielsku nienawidzę — to Achilesowa pięta mistrza, — choć tak potężnie znać lwi pazur w tym typie czarownicy.

Olga.

Zgoda na to. Dalej Julinetta, bardzo ją pan uwielbia?

Edmund.

Nie do entuzyazmu — ale nikt jej lepiej nie pojął — podziwiam zwłaszcza oddanie obojętności, z jaką gotowa iść za mąż, nim ujrzała Romea, a potęgę boleści i odwagę po jego poznaniu.

Olga.

To samo myślałam. — Dalej Jesica.

Edmund.

Jako sztuffaggio dziewczęcia lekkiego — mam jednak wstręt do tego typu.

Olga.

Więc którą pan kocha? odwracam czarną kartę Lady Makbet i mglistej Titanii, mijam zwykłą Ofelię — która byłaby ideałem pana?

Edmund.

A — jużcić Kordelia! to niebieska tajemnica na ziemi!... Kordelia i Marquis Poza, to moje dwie najmilsze gwiazdy na niebie poezyi....

Olga.

Może nie mam słuszności, ale dla mnie tylko Desdemona!... ta kobieta wyższa nad pospolite formy świata, w którym wzrosła, zdolna zająć się człowiekiem, który zaimponował jej zasługą i nieszczęściem, brawująca wszystko dla niego, kochająca do ostatka i tryumfująca nadludzkiem przebaczeniem....

Edmund.

Jestem zwyciężony. — A — pani gdybyś spotkała takiego Otella, któryby w życiu postradał wiele, lecz serce zachował młode i gotowe do ofiar — człowieka ubogiego — nieszczęśliwego.

Olga.

Z rozkoszą podzieliłabym jego nieszczęście, któregoby tem samem dla nas nie było!

Edmund.

Pani mnie nie pojmuje... wybacz pani....

Olga.

Onby mnie kochał?... ach! czemu on ciemny?!... W istocie — nie pojmuję.

Edmund.

I taki nieszczęśliwy, nie śmiałby podnieść oczu... aż... do pani...

(Zakrywa twarz.)

Olga.

Ha!... pan byś... Cenię nieśmiałość ubogiego — komu innemu nie odsłoniłabym, co się w duszy mej dzieje... ale pańskie oczy, pańskie ubóstwo...

Edmund.

A któż pani powiedział, że nieśmiałość ubogiego pozbawia go dumy?.

Olga.

Mój panie...

Edmund.

Ha! ja już nic nie wiem, tylko że panią kocham! kocham! kocham! ha! stało się!

(U nóg jej pada.)

Olga.

Wstań — odtąd jesteśmy swoi, prowadzić cię będę, mówić o świecie, a ty mnie o tajemnicach duszy twojej — kocham cię — nie lękam się niczego — wytrwam — (gorąco) o czemu nie jestem ciemną! kiedy ty ślepym jesteś!...

(Chwyta jego głowę z czułością.)

Edmund.

(Na kolanach.)

Olgo!... Olgo!... jeszcze słowo!... przebacz — mam wyznać. — — —

Olga.

Wstań — Półkownikowa — jak ja jej powiem? — —

(Wchodzi zwolna Półkownikowa.)

Półkownikowa.

Moja Olgo, chodźmy się przejść, dosyć czytałaś.

Olga.

Dobrze, tylko zarzucę co cieplejszego.

(Odchodzi.)

Edmund.

(Ukrywa twarz w dłonie matki i milczy długo.)

Ta — albo żadna!

Półkownikowa.

Przyrzekła ślepemu?

Edmund.

Tak!...

Półkownikowa.

Ach!... widzę że miłość ślepa... strach mnie bierze, jak jej to odkryć, całe uczucie mogłoby prysnąć o ten wymysł, mówiłam ci: „Nie żartuj z ogniem“... sama nie wiem....

(Wchodzi Olga.)

Olga.

Chodźmy — mam pani tyle — tyle powiedzieć....

(Odchodzą.)

Edmund.

(Patrząc za niemi.)

O cudna istoto i jaż cię godzien byłem? ja śmiałem cię okłamać, a ty za to ukochałaś — ślepego?... mniemane ubóstwo i nieszczęście gotowa dzielić z uśmiechem?... Boże mój, teraz przewidziałem, dotąd byłem ciemny. — Wątpiłem i jestem ukarany — a — pocóż idą ku tej kładce nad rzeką — mogą łatwo stracić równowagę — matka chce przejść — Olga ją wyprzedza — tam młyńskie koła! weszła — och! chwieje się... traci przytomność... wzniosła rękę... spadnie! ha!...

(Rzuca się gwałtownie za niemi, po chwili wnosi bezprzytomną Olgę.)

Półkownikowa.

Dzięki Ci wielki Boże!...

(Edmund klęczy przy Oldze.)

Olga.

(Cicho.)

Mój wybawca... (zrywając się) ha!... co to jest... On nie ślepy?...

(Pada na szyję Półkownikowej.)

On nie ślepy?...

Półkownikowa.

O tak — ślepy miłością — przebacz mu to

kłamstwo, z miłości której nie wierzył, bo nie znał ciebie — upokorzenie karą za to wątpienie, a daruj mu, gdy ci wyznam, ja, słaba matka, że to Edmund, syn mój!...

(Olga cofa się.)

Edmund.

Na kolanach wyznaję moją winę — sędzio mój, bądź wspaniały!...

Olga.

Pan mógłeś... (Długie milczenie.)

(Rzucając się z krzykiem radości na szyję Półkownikowej.

On — nie ślepy!...
Boże mój, nie daj mi oszaleć!...

Półkownikowa.

(Blagalnie.)

Uszczęśliw go!...

Olga.

(Klękając.)

A przez niego — ciebie!

Półkownikowa.

Takiego dnia życzę wam, wszystkie matki!

TRZY SZKICE.

I.

Monografia łzy.

Poświęcone Hemildzie.

Polały się łzy me czyste — rzęsiste —
Na me dzieciństwo sielskie — anielskie —
Na młodość moją górną — i chmurną —
Na wiek mój męzki — wiek klęski —
Polały się łzy me czyste — rzęsiste. —

MICKIEWICZ.

Ay! que vida tan amarga!...

S. TERESA. (Glosa.)

Łza mi się ciśnie do oka, kiedy się zadumam nad zbiorowym strumieniem codziennych łez całej ludzkości. — Pędzą one mętne i krwawe w różnych kierunkach, gorzkie, gwałtowne, spienione i jasne, jak perły rosy wieczornej i brylanty poranne, rozsiane przed wschodem słońca po kwiatach doliny — jak srebrne kryształów zdroje płyną po modrych łożach bławatów, a zawsze pędzą naprzód, naprzód! porywają i wloką ludzi prądem swym

— namiętnie, ale naprzód! nawałnie, jak z oberwanej chmury boleści, szarpią się po bryłach skalistych namiętności i samolubstwa, ale przejrzystym postępu strumieniem, dalej szumią dziko i gwałtownym wodospadem, którego echo kona w przepaści dziejów, grzmią z stromych wieżyc fatum czarnego, z szczytów poświęceń i wysileń, czy z szczytów zbrodni, spadają w przepaść przyszłości, i grzmotem skargi spienionej, od którego uciekali Bogowie wszyscy, przed którym drży natura w posadach swoich, a któremu tylko naga, odarta, śnieżna prawda stoi, boleści szczytów, zwierzają otchłaniom!...

A kiedy gwiazda nadziei zadrży nad tą otchłanią strumienia, to szumi gwałtowniej i leci weselej, ale tylko obraz jej chwilowo odstrzeli — lecz kiedy słońce miłości na spieniony, strącający się strumień, ten łez ludzkości, ciśnie garść promieni i zagra niemi w ich głębiach ciemnych, z odmentów ich stóramiennych, grzmiących, wytryska tęcza drżąca i dziewicza, żeniąca przepaście bezdna z brzegami wieczności, cudnym mostem otchłani, po którym przechodzi na ziemię anioł, — anioł poezyi.... On arfę miał złotą, strony z promieni słońc i jęków świata, z woni róż i radości czystych sumień po dobrym uczynku, z hymnu przebaczenia i z ryków Oceanu były prędzione, — ruszył je akordem życia, a arfa zagrała ku mnie: Za to, żeś się umiał rozpłakać nad

nędzą nieprzyjaciela, nad cierpieniem jednego człowieka — doznaj szczęścia bolesnego rozpłakania się nad strumieniem łez, co płyną z mąk całej ludzkości, cierpiącej w walce pochodu, na wielkim krzyżu przyszłości.... Wsłuchaj się w strumień ten od kolebki dziejów aż do wrót wieczności, a jeźli ci nie pęknie serce, zmieść w nim ich ból, posłuchaj szumu muzyki zdroju tego, co gra dziksżą melodyą niż wiejące na sąd skrzydła wszystkich archaniołów, niż gdyby Niagara przeskakiwała Alpy i leciała po schodach piramid ku Oceanowi szalonemu.... I wytężyłem, drżąc żądzą nieśmiertelną, za tą arfą ramiona, jak skrzydeł dwoje do lotu — i rzucił mi arfę tę anioł, jak kochankę w objęcie, a siadając nad urwiskiem szumiącego strumienia, rzekł głosem wielkim: „Wsłuchaj się tęskny bracie w strumień ten, rozróżnij łzy te po ich wartości czystej i garść ich w przestrzeń błękitów wyrzuć przed oczy ludzkie, zanim popłyną dalej, w krainę ideału i wieczności.“ — I z arfą padłem na skale mojej nad morzem — i szyba cichego błękitu fal, oddychających w bezkońcach modrych, była tylko przede mną, a szyba cichego błękitu rozwartego jak bezbrzeżna pierś Boga! była tylko nade mną! i leżę nad morzem z arfą mą złotą, a życiem stroję ją na Oceanu ton..! .

I w skałę uderzam piersią krwawą, jak łabędź ranny, i wołam u ujścia łez w Ocean

wieków, która łza najczystsza w Oceanie ludzkości?... Najjaśniej gwieździ mi ta, o którą modli się na progu rozpaczy człowiek, z źrenicą suchą, a której już wymodlić nie może, bo piekło geniuszu i miłości pali pierś jego wulkanem, a nim piorunem trysnęłaby w świat myśl jego, myśl tę męztwem boleści zrodzoną, zgasiłaby może wymodlona suchą źrenicą łza niewieściej pociechy!... Dalej piersi płomienna! żegluj korabiem dobrej woli, naprzód! nie cofaj się nigdy, i zadaj kłam przemocy najpiekielniejszej!...

Dalej — — — widzę łzę rzewną, jasną nad gwiazdy nocy wschodniej — to łza żalu grzesznika! Peri uniosła cię jako hasło niebieskie — a z liców Maryi Magdaleny opadłaś na lica fiołka schylone.... I ujrzałam w powodzi pereł czystych łzę sieroty płaczącej na grobach; na licu jej bladem jak opłatek, drżała jaśniejsza niż ta, którą obok całowało zachodnie słońce w kielichu lilii, strojniejszej od Salomona.... I cichy anioł macierzyństwa spłynął po promieniu księżycowym i zcałował z lica sieroty łzę, co była czystsza niż ta, która z źrenic jego opadła w pierś jej balsamem pociechy, jak w kielich wonny lilii białej....

I szumią dalej dziwną, smętną harmonią bieżące fale Kokytu szlochem — ileż milionów w nich łez!... a najpiękniejsze te, co płyną niewidzialne, w ciemnościach nocy, w cieniu

więzień, w cichości poświęcenia, w mękach tworzenia i w niemej rozkoszy ofiar bezimiennych!... Patrzcie, oto jak kalejdoskop dziejów błyszczą razem łzy ludzkie — gierlandami kometów rozpadają się i łączą w przestrzeniach błękitu.... Oto łza pierwsza Ewy nad śpiącym Kaimem, co zgasiła jej uśmiech ostatni — i łza jej ostatnia nad ciałem Abla, co wywołała znowu uśmiech pierwszy — rozpaczy!... bo związek łzy i uśmiechu jest ciągły, — z harmonii w dyssonans, z dysonansu w harmonią płynie! Bo radość jest matką boleści, a boleść matką radości.... Dalej jak wielkie kryształy błyszczą łzy wielkich — a później jednak ujrzemy, że łzy ciche maluczkich i jaśniejsze i „żyźniejsze!“

Mimo stóp przepłynęła mi łza Aleksandra Wielkiego, gdy słysząc od Arystotelesa, że są insze światy po za naszym światem, płakał z żalu, że tych wszystkich światów zdobyć nie może!... I łza Cezara nad głową Pompejusza, i ostatnia łza Annibala, złączona z łzą Maryusza nad gruzami Kartagi! Łza Periklesa nad stosami synów. I jedyna łza Cornelii, matki Grachów, łza sztuczna Kleopatry w niewoli, dalej łza Karola Wielkiego w melancholicznej starości, gdy z okna patrzał na łódki Normandów!... I łza ostatnia Napoleona I., całującego synka swego!... Wielkie one wszystkie, ale nikną przy łzach cichych cierpień, jak perły korony przy perłach łąk....

Oto łza bólu Bogarodzicy, spłakana na Golgocie!... I łza, którą spłakał Zbawiciel, wjeżdżając do Jeruzalem!... przy nich nikną łzy inne... a tylko łzy prostaczków, Łazarza, i pasterzy Betleemskich wypływają!... one gwieżdżą, jak słońca niebieskie!... I oto łza pierwsza Ewy — łza wielka, ciężka i gorąca, jak żal — ale nie tak ciężka, jak łzy Polek z Litwy i Korony, w które na bal nakazany stroi się caryca!...

W źrenicach Ewy poczęło się źródło łez ludzkich; ztamtąd ich strumień szumi gwałtownie i jęczy czyscowo!... Tu Abraham rzuca łzę przerażenia na stos Izaaka, ale gotów!... Tam Dawid heban arfy swojej osadza perłami, dobytemi z źrenic swoich!... A wreszcie Jeremi z chórem wyjących w niebogłosy żydów, łkając, zawodzi głosami Hioba, cięższemi niż boleść Hioba!...

W błękitnym świecie Hellady łza jest przypadkiem: pojawia się chyba w oku Priamów... płacze chyba Kassandry uśmiechem — W świecie Indyjskim jest perłą świętalną, którą się rzuca na stos lub ołtarz — w świecie Perskim uroczystością, strasznym gościem w przybytkach Dariuszów i Xerxesów, błyskawicą na licu Mirzy Szaffy... w świecie Egipskim stała się niemą rozmową głazów, i uśmiechem boskiej, niemej Izydy, choć się jej u ludzi wszędzie domyślać należy — w świecie Etruskim tajemniczo spływa prędko otarta, a

nieraz pochłania ją groźna boleść, w świecie Rzymskim tryska łatwo i namiętnie, jak źródło strumienia, w Germańskim zjawia się u niewiast, ale już tylko w rozpaczy, w Słowiańskim jest towarzyszką i pocieszycielką ludzką, a pieśń nią przesiąkła i stała się łzawą, jak dumka i mazurek.... W Sarmackim świecie i dotąd u nas pewien pudor łzę okrywał; jest w tem coś bardzo poważnego i głębokiego; przeciwnie na Zachodzie mężczyzna płaczący jest rzeczą zwyczajną i niewstydliwą — W świecie chrześciańskim łza stała się jakby zadatkiem życia przyszłego — i okna kolorowe gotyckich katedr średniowiecznych zdają się być odbiciem tęczy łez całej ludzkości!...

I znów błysnęła łza więźnia w samotnej nocy, pod ziemią przez sen spłakana, kiedy mu się okolica rodzinna i dzwon wioski, i woń siana i lasów szum, młodość marząca, dolina jasna i postać dziewicza, których już nigdy — nie ujrzy.... daleko.... daleko.... przyśniły!... Oto łza cicha matki, błogosławiącej syna do boju!... i chór matek na pobojowiskach Polski i Litwy, łzy ich krwawsze za dni Murawiewa niż za dni Heroda! Oto łza ojca nad poległym bohaterem! Łzy spłakane uroczyście są relikwiami życia, o ile lada czego sponiewierane rodzajem hańby, — dla tego przeciwstawiemy łzę bohatera — i łzę mazgaja, lub sentymentalne wybuchy kaprysu!

Związek łzy z człowiekiem jest pełen znaczenia i tajemnic — rodząc się i umierając, człowiek ma łzę tak, jak pieśń za towarzyszkę. Religia, sztuka i filozofia nadały łzie znaczenie głębokie, ale głównie nadało jej go życie. — Co nas tak wzruszy, zdziwi, zmięsza, rozrzewni, skłoni, wstrzyma, jak łza? A jeźli ona za słaba na to, czem jesteśmy?... Straszliwą jest łza nędzy, straszliwszą rzadka łza rozpaczy — rzadka — bo Nioba, Kassandra i Rejtan łzy nie mają!... Może ją mieć Dziewica Orleańska, Kopernik i Kolumbus, Faust i Sawonarola, Abelard i Heloiza, nawet Poza i Karlos, ale nie zdobędzie się na nią Laokoon ani Ugolino!... Ani król Lear, ani bohaterka Nibelungów!... Oto łza przyjaźni!.. taka, jak łza Oresta za Pyladem, Dawida za Jonatasem — w obec takiej — wszelkie słowo bluźnierstwem — przed taką — na kolana. Któreż uczucie wyższe nad świętość przyjaźni młodzieńczej — ona jak węzeł gordyjski koleżeństwa łączący pokolenia, o! przyjaźni święta!... nie powiem żeś ty czysta jak łza — ale powiem, że łza czysta jak ty!... i łza tylko spada w przepaści ducha na wspomnienie twoje... za świętaś i za czysta, by cię brukać słowami! Oto łza miłości niewieściej, gorąca, złota, jak królowa pereł, pełna iskier nad brylanty najczystszej wody!... ja łzę przyjaźni wolę — łzą miłości niech się upije motyl w kielichu róży wonnej, łzę przyjaźni

zcałuje skowronek z konwalii spłakanej, nim poleci budzić orły, budzące słońce nieśmiertelne!... Nad łzy bogów i bogiń mytyczne, łza przyjaźni... przy niej zbladła łza Dianny, co mogła paść na czoło Endymiona!... Malarstwo, prócz poezyi, najwięcej ma z łzą do czynienia, i w tem wielkie jego uzupełnienie!... że tylko wspomnę o łzie Zbawiciela, padającego pod krzyżem, Rafaela [1]), o łzach Matki Boskiej w jego boskiem spasimo (Madryckiem), o Ecce homo, Guida [2]) o matkach bolesnych Vandyka czy Delarocha, — czy o świętym Piotrze, opłakującym swe zaparcie, tem arcydziele Ribery [3]), gdzie starzec żałujący nie płacze, ale usty rozwartemi ryczy z rozpaczy i żalu; z źrenic ledwie kilka łez ciężkich, jak groch, ciepłych, jak krew, gorzkich, jak piołun, upadło na szatę zieloną i pomarszczoną szyję — a w pięści ściska klucz niebios zardzewiały — a płacze nie dla tego, że splamił swój charakter, nie dla tego, że na piekło zasłużył, nie dla tego, że skłamał, ale że Boga obraził!... Majestat żalu tam współzawodniczy z majestatem boleści!

Tu pozwolimy sobie, dla czytelników muzykalnych, pociągnąć małą parallelę pomiędzy pojęciem artystycznem tej chwili żalu, (którą zresztą każdy „człowiek“ odczuł w głębi własnego serca). Wspomnieliśmy, jak tę chwilę płaczu św. Piotra pojął Ribera, czysty przed-

---

[1]) Rzym. [2]) Drezno. [3]) Lipsk.

stawiciel szkoły hiszpańskiej w malarstwie — oto — patrzmy, jak ją bosko zaklął Bach, przedstawiciel starej muzyki niemieckiej — w swojej muzyce passyjnej, według św. Jana:

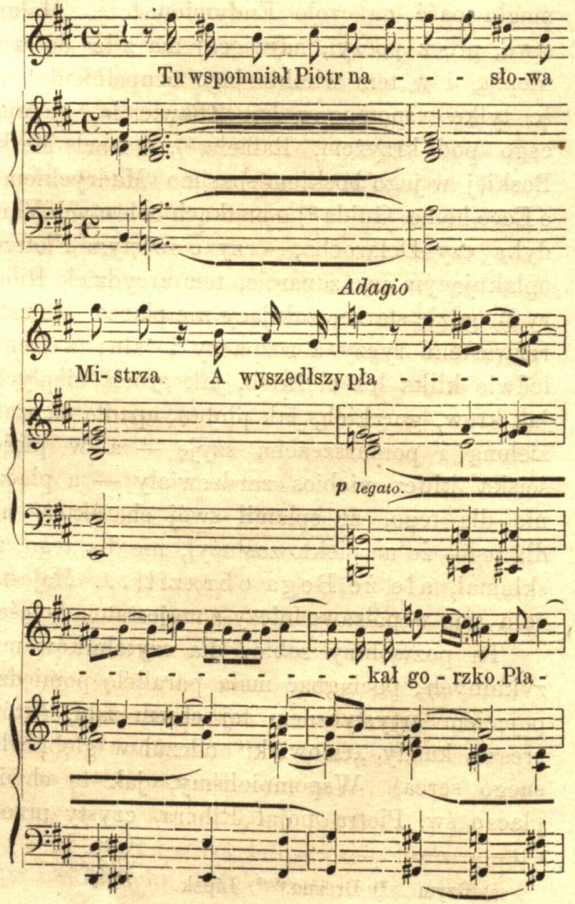

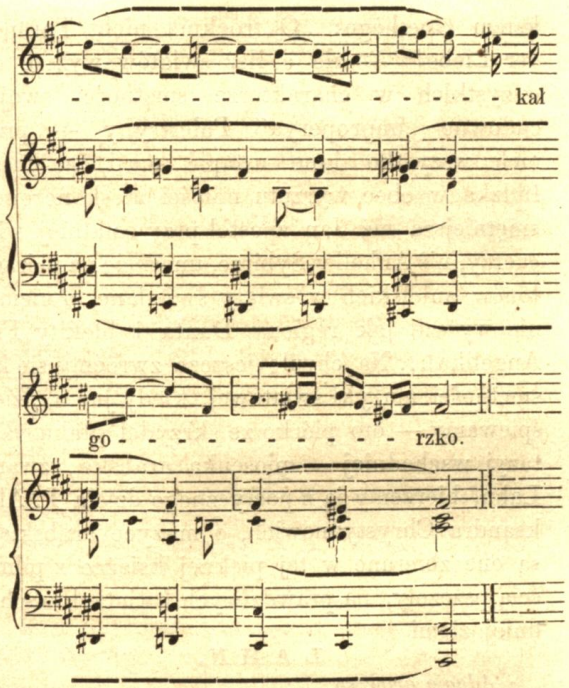

Porównaj te dwie wielkości, kochany czytelniku i zabaw z niemi ile chcesz.

Ten sam św. Piotr płacze w jego pasyi św. Mateusza, ale o ileż inaczej i mniej żałośliwie. — W powyższej ryk żalu namiętnego z Ribery obrazu zdaje się zawodzić w tych tonach, których się niezapomina!... Łzawy i smutny charakter mają i pieśni Beethovena, mianowicie jego „pieśni duchowe“ (geistige) z tekstem Rückerta, i pieśń jego cudna z te-

kstem Goethego: „O trocknet nicht Thränen der Liebe!“ — ale o ileż światów wyższe od wszystkich w charakterze smętności swojej cudowne „improperya“ Palestryny — przy nich wszystko inne ustąpić musi, a dusza ludzka w obec wyrzutu miłości nieskończonej, smętniejsza niż Jan apostoł przy ostatniej wieczerzy, niż Anheli w Sybirze, unosi się na piórach tonów anielskich w światy świetlane, o niemal nie wyższe jak regiony Danta i błękity Fra Angelika!... Na chwilę jeszcze zwróćmy się ku smętności muzyki światowej, kiedy już o „łzie“ śpiewamy — oto piórko ze skrzydeł ptaka fantazyi wschodniej — piosenka arabska, zwana Lahn, bierzemy ją z poetycznego dzieła P. Aleksandra Chrystyanowich, o muzyce arabskiej; są one zbierane w tej pięknej książce z pilnością pszczoły, na prawdziwych kwiatach wschodniej ziemi

LAHN.

Adagio amoroso.

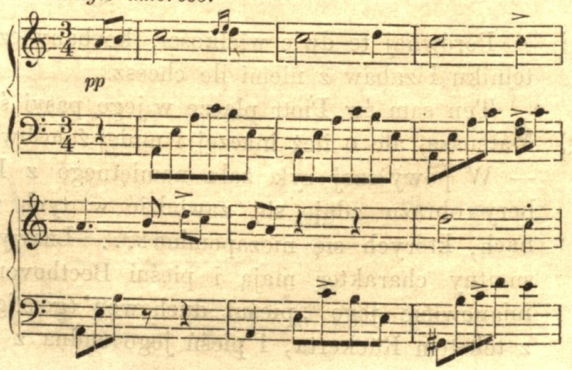

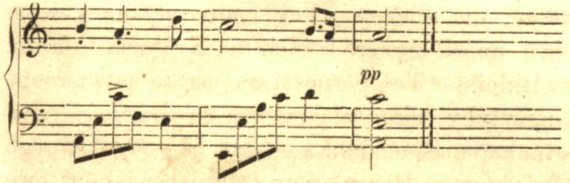

Te proste a z tęsknych łon płynące tony, przy szmerze palm, w otchłani puszcz przepadające, przy brzęku kilku strun, rozmarzają i rozkwilają serca pod wschodniem cichem niebem. Odsyłając do dzieła dodajemy jeszcze tekst z arabskiego, przetłomaczony na francuzkie przez P. Gorguos:

Helas! il ne sont plus ces hommes, nobles coeurs! Ils avaient soumis la fortune, tout allait en gré de leurs désirs! — Le temps dans le cours rapide des événements, les a emportés; ils ont disparu l'un après l'autre — Ainsi le temps emporte et anéantit! — — Leur séperation fait pleurer mes yeux, et leur ravit le sommeil. — Ah! la séperation est pleine de larmes quand on aime!...

Przychodzą nam tu na myśl także pieśni gminne hiszpańskie, których nóta przeciągła, tęskna i namiętna ma coś powinowatego z naszą Ukrainą. — Niekiedy pomięszał się w niej charakter maurytański z hiszpańskim tak, jak w architekturze gotycyzm z maurytanizmem, stanowiące dziwny zdźwięk obu pierwiastków — i nic oryginalszego, jak obok katedry Sewilskiej jej smukła Giralda, jak obok naszej katedry w prześlicznym, a tak mało przez nas znanym, Kamieńcu Podolskim, naszym Gibral-

tarze, ów śliczny wiotki minaret, na którym dziś unosi się śród błękitu Królowa korony polskiej. — Te sporności za często powtórzone znużyłyby oko, ale czasem są dziwną i oryginalną niespodzianką — tak jak śród starego Toledo, tego Herculanum średnich wieków, owe przepyszne Alkazary maurytańskie stojące na biodrach stromych skał, wśród których wąwozu przedziera się z rykiem ponurym namiętny Tajo, jak echo skarg maurytańskich.... Albo wśród czarodziejskiej Alhambry, której wdzięki przechodzą wszystko, co ci prawi wschodnia poezya — kiedy upojony tą architekturą pełną muzyki i mozaik z skrzydełek motylich i kawałków tęczy, w takich akordach barw zestrojonych, przechodzisz z dziedzińca lwów do chodnika mirtów, i z sali Abenserageów do łaźni sułtanek, oczarowany temi rzeźbami śnieżnego marmuru, który nie do koronek, ale do którego koronki byśmy przyrównali, i kiedy nieustanna harmonia fontan i woń pomarańcz, i woń gwoździków z brzękiem odległych gitar, z szumem myrtów i laurów tak smętnie zestrojona, wtórzy ci melancholicznie te wieści o cudach, co znikły w przepaści wieków; raptem w dziedzińcu — uderza cię niezupełnie mile — ale niespodziewanie, pyszny pałac Karola V. będący ostatniem słowem wykwintnego renesansu, a zrujnowany w pysze swojej tak okropnie, że gwiazdy nieba będące dziś cichym sufitem jego pogruchota-

nych kolumn, przypominają ci znowu ciszę ślicznej ruiny Heidelbergskiej — i nasze, nieopisanego wdzięku, relikwie niepoczczonej przeszłości, stojące w gruzach wielkich i cudnych, od Tęczyna do Ostroga, od Czorsztyna do Olsztyna, od Odrzykonia do Lanckorony, od Malborga do Ławry — od Kowna do Orszy!... a tak mało dłoni młodzieńczych, coby z zapałem ująwszy kij pielgrzymi, wytyczyły sobie podróż po kraju od morza do morza, zbadały lud, pomniki, przeszłość, obecność — zdały z nich sprawę przyszłości, i obeznawszy się z Europą, jedno przeciwstawiły drugiemu! Sporność jednak wzyż wspomniana w architekturze może łatwiuteńko przejść groblę ładu. — W zestrojeniu bajecznem, i dziwnie zgodnem, podziwiałem renesans z gotycyzmem w kościele San Vincente na przedmieściu Belem pod Lizboną — klasztór obok zrujnowany harmonijnie zestraja w sobie gotycyzm, renesans i maurytanizm, nie liczny z szczęśliwych wyjątków. Nigdy zdaniem naszem barbarzyństwo ikonoklastów nie doszło do tej potęgi, co wandalizm Karola V., gdy wśród przepysznej Moszei, tej królowej arcytworów wschodniej fantazyi, w Kordui, kazał wznieść w środku katedrę gotycką. — Piękna ona i niknie wprawdzie w ogromie harmonijnej Moszei, opartej na lesie dziewiczym marmurowych kolumn, lecz to zniszczenie jej środkowej części godne jest burzyciela Rzymu —, czego sam później miał

żałować. — Ale wróćmy do łzy i pieśni. — Niepodobna pominąć tu całego smutku i czaru mazurków i piosnek polskich Szopena. On kilka stworzył, kilka z nich obrobił — ale unoszą się one w bezimiennym wdzięku nad całą polską ziemią — ognikiem kurhanu, babiem latem łąki, motylem i rusałką natury.... Niemniej w tonie smętności rozlanym w całej Halce Moniuszki. Ileż potegi smutnej pieśni u Szumana, mianowicie: „Ich grolle nicht!“ i w pieśni Szuberta, które w tęsknej melancholii zwykle jaśnieją ku końcu i przechodzą w jakieś tło świetlane, nieskończoności niebiesko uśmiechniętej, jak ostatnie takty Wanderera. Niemniej tęskne są pieśni Pergoleza, zwłaszcza słyszane na wiolonczelli, a cóż wyrzec o pieśniach Robertą Franza, mianowicie cykl z tekstem Waldaua, że wspomniemy tylko „Cmętarz“, tę pieśń, gdzie każdy ton czarną krepą przesłonięty, drży rosą łzawą na kwiatach świeżej mogiły. — (Dziwna sporność! — gdy mogiła poczyna być świeżą, żal zwykle przestaje być świeżym.) — Niech nam się godzi jeszcze wspomnieć o jednej z pieśni znanego już w muzycznym świecie młodego wirtuoza na wiolonczeli D. Poppera —, pieśń ta do tekstu Göthego: „Wer nicht sein Brod mit Thränen ass“ — jest uczuciem swojem i załością, mianowicie przy wierszu: „Der kennt euch nicht, ihr himmlischen Mächte!“ na wysokości, a raczej na dnie niezgruntowanem boleści zawartej w tej

strofie. — — Tu znowu malarstwo przywodzi nam na myśl piętę z XIV. wieku przez Grivelli, pierwiastkowej szkoły włoskiej — tak rozdzierającej boleści nie widzieliśmy w żadnym religijnym obrazie *). — Prawda, w podobnym stopniu podziwialiśmy ją raz, w fresku Kaulbacha Izis, będącej dla nas najpiękniejszym, najgłębiej pomyślanym z całego Berlińskiego Treppenhausu. Oto smętna i miłościwa bogini Egipska, pełna tej ciszy, jaką oniemiały w wiekach wszystkie mumie i sfinksy, w jakiej płaczą skamieniałe Etiopy w ciemnicach piramid swoich.... Matka milczenia i miłości, będąca uszlachetnieniem duchownem Wenery i zidealizowaniem Cerery, a poniekąd śmiemy rzec, przeczuciem madonny, stoi uniesiona na tle jasnego błękitu. — Szata jej o cudnych fałdach falistych kilkoma rzutami mistrzowskiego ołówka stworzona, powiewa i szumieć zda się. Z starą, rogatą lirą na klasycznej głowie, a z krzyżem (!) i dwoma pierwiosnkami w jednym ręku, na drugiem trzyma śliczne, wypieszczone dziecię, krew z mlekiem, promieniejące szczęściem dziecinnem, z pulchnym uśmiechem, paluszkiem w buzi i rączką na matce samolubnie rozpartą — obok niej z odwrotnej strony stoi syn pierworodny, o ludzkim kształcie, ale z nałożoną sobie psią głową, według mythu starego. — On także stoi

*) Londyn, własność prywatna (lorda Ward).

przy niej, ale sierocy i wzgardzony podniósł ku niej psią głowę, o wyrazie niewysłowionej boleści, którą tylko ołówek historyozofa tak oddać może, i z oczu jego ku niej wzbitych kilka gorących łez upada — że zdaje się wyć: o matko! i ja twój syn, dla czegóż mną gardzisz, i ja cię miłuję! zdejm mi tylko głowę zwierzęcą, którą mi nałożono przemocą ciemności, a pod nią mam ludzką!... i będę człowiekiem!... W oddaniu natchnionem tego mythu, którego każdy duch człowieczy wstydzić się może, wyśpiewał wieszczo mistrz, boleść i łzy wszystkich klas uciśnionych, wszystkich ludzi i myśli ludów jęczących czy ofiarami przesądu, czy niewoli, czy ciemności, czy potwarzy — całą niesłusznie pokrzywdzoną część rodu ludzkiego! Ale miłościwa Izyda nie ma władzy zdjęcia mu tej głowy — zdjęła ją dopiero miłosierna dłoń Chrześciaństwa!...

Od pośredniego związku łzy z pieśnią, z sztuką w ogóle, wracamy do bezpośredniego związku jej z życiem. — —

Gdyby geniusz zapoznany w dumie swojej płakać potrafił, łza odkupiłaby wiele! — I oto łza dziecka, płaczącego ze złości — i łza dziecka w dostatkach, które z okiem smętnem drugiemu dziecku odartemu i sierocemu podaje jałmużnę....

Nigdzie łza nie jest wybitniejszą jak u ludu — ona jest perłą jego cierniowej korony!... Kto widział pogrzeb wieśniaka, poczuł to do-

brze, mówić o tem estetycznie, po dzisiejszemu, nie godzi się!...

I zwierzęta mają łzy swoje: widziałem raz w szumiącej kniei śmiertelnie ranną sarnę, którą sarnięta z bekiem, wymowniejszym nad rozprawy estetyków, lizały po ranach, ona zaś, robiąc bokami krwawemi, ostatkiem sił, patrzyła na nich, a z jej oczu duże, białe krople padały na wrzosy, pod szronem zgięte!... Któż nie pamięta owej twarzy wielbłąda, która łzawa zajrzała do namiotu ojca zadżumionych? Homer w Odysei, przy witaniu się Telemaka z Ulissesem, wspomina o łzach orłów, którym gniazdo zburzono, a rubaszny szlachcic powiedziałby w swoim sposobie bardzo poetycznie: „płakali jak bobry, mości dobrodzieju!“... a klucz do tych wszystkich tajemnic w łzie owego psa Izydy!

I narzędzia muzyczne mają łzy swoje: posłuchaj kiedy arfa Jeremich płacze tonami skarg i westchnień, a skrzydła jej tonów, jak stada łabędzi, wibrują aż do stóp Przedwiecznego, gdzie pęka ich fala, rozbryźnięta we łzy ludzkości. — Czy arfa jako tłomacz łzy cichej, północnej, niewidzianej, spadającej, w komnacie Desdemony — tak, jak ją rozełkał Rossini — posłuchaj, gdy Wiola w karnawale Berlioza żali się namiętnemi łzami Romea, a Bratsze w jego boskim, nieocenionym, przyszłym Haroldzie, którego tema gorzkie i żałosne, jak czerwona nić snuje się w całem przędziwie symfonii, znać ją i w chórze mnichów — i

w tłumie bachanckim i jaskini zbójców, a wszędzie ta sama, smętna i wyrzekająca*)... Czy w skrzypcach pokutuje Paganini, szlocha Ernst i żali się Lipiński, gdy łzami Pergolesa płacze wiolonczela, a przez łzy uśmiechnie się fortepian Szopena; — lub z jaskółczą swawolą bryźnie perłami i powieje uśmiechem wonny ton Mendelssona.... Zapewne, że o takich łzach nie śniło się filozofom, ale w konchach najtajemniejszych swego ducha nosi je ludzkość, ale wiedział o nich Astorga w swoim „Stabat mater“ i wiedzieli o nich Cherubini i Mozart w swoich „Requiem,“ zapomniał o nich Rossini w swoim „Stabat mater“, które przypomina purpurę kardynalską i pompatyczne nabożeństwo, (w którem jest zwykle wszystko prócz nabożeństwa), ale wiedział o nich olbrzym Beethoven, pasujący się z wątpieniem u stóp ołtarzy w swojej „Missa solennis“ i znały to bliźniaki jego: Szubert i Szuman.

I natura ma łzy swoje, o których także nie śniło się filozofom, ale znali je Eschilles i syn jego Shakespeare i wnuk jego Mickiewicz. Skały i kwiaty mają łzy swoje — cóż cudniejszego

Jako łza burzy
Na polnej róży,

*) Pośrednio tylko nazywamy Charolda przyszłym, bo muzyka przyszłości istnieć przestała — zamienia się ona już w muzykę obecności.

Która na grobach kwitnie tak wesoło,
Jakby kochanki ustrajała czoło....

I drzewa mają łzy swoje; posłuchaj, kiedy prastary dąb w rozrzewnieniu szumi nad głową twoją stuletni dramat wspomnień dziejowych, kiedy lipa matrona, której chór pszczół wtóruje, rozrzewni się łzawą epopeją, i z różańca swego spuszcza perły majowe... i kiedy brzoza elegiczna, długiemi warkoczami, przetkanemi w perły rusałczane, na niebieskiej szybie polskiego stawu, w cichą noc zamiata gwiazdy majowe, jak rozżalona nad niemym łabędziem, który krąży cichem, złotem kołem, jak zaczarowane wspomnienie — I kiedy z listków brzęczących jaworów spadają perły rzewne, jak ostatnie łzy rozstania, czy kiedy z szemrzącej topoli nadwiślańskiej spadnie łza cichej skargi, czystsza niż ta, co spadła z liców Maryi Teresy, gdy podpisując rozbiór Polski, zbrodniarką się stawała, która: gdyby była wyrobnicą i skradła trochę zboża lub przędzy, zamknięto by ją ze złodziejami, ale że okradła naród Sobieskich, znalazł się tuzin historyków i filozofów tłomaczących jej położenie. — Wolę niemy a tak wymowny szum borów sosnowych, straszny i uroczysty jak pochód sprawiedliwości dziejów, czystsza ich złota żywica w słońcu zroniona.... Wolę łzę wierzby spruchniałej nad cichą rzeczułką i starej, dzikiej gruszy cmentarnej, co we łzach szumi i furkocze jak sztandar zestrzelany.

Ileż wyrazu skargi ma osika, siostra topoli nadwiślańskiej, która zdaje się być echem cudownej skargi drzew Wasilewskiego. — Kiedy wieczorem majowym rozbrzęczy się tysiącami listków srebrnych, jak drzewem zmartwychwstania na grobach, listków wiszących w eterze, jak na nitkach złotych, a każdy z nich, jak ruchome srebrne zwierciadełko tak małe, w którem odbija się tak wielkie niebo gwiazdolite i księżyc blady.... Tyle w niej dreszczów rozkoszy, szeptów i westchnień niemych, co w przerywanym monologu oczekującej oblubienicy... kiedy w gaju modrzewim okwefiona mgłami wieczora, czeka drżąca i niepewna,... a na włosach jej drży rosa wieczorna — szczęśliwa dziewica, której serce drży tem drżeniem, szczęśliwa rosa, co drży na jej włosach i uśmiech jej pełen szczęścia niepewnego..... I szarpnęła przypadkiem sznur perełek, co od stóp jej pogoniły i przepadły w trawie, jakby się zasromały pereł rosy.... W tem głuchy szmer przeleciał po lesie, jakby duch śmierci biały przewiał nad wrzosami strómienia. — Zaśmiał się wicher z daleka — łysnęło — bór w dali się najeżył, chórem drzewa pokłoniły się głucho widmu burzy — a po chwili przepadła w lesie dziewczyna — raz jeszcze odsłoniła ją w chmurze liści lecących błyskawica nocna, z załamanemi w niebo rękoma, i przepadła w przepaściach nocy, jak w otchłani życia — a w nocnej burzy rozryczało się tyle

głosów, urągających i szyderczych, tygrysich i sowich, co w Mefistofelicznem skercu Faustowskiej symfonii Liszta — i tyle łopotania skrzydeł sowich, jakby grud spadających na wieko niknącej dziewiczej trumny, tyle skrzypienia, co u wozu wiozącego trupa młodzieńca — tyle szyderczego zerkania pruchen nocnych, wyzierających tu i tam z pod olbrzymich paproci, tyle chorałów puszczykowych, ryku hyeny, co wietrzy po cmentarzach, lisiego ujadania, wilczego wycia, syku węży, śmiechu kogutów i szatańskiego urągania grzmotów, że zdało się, iż Mefisto w apoteozie odbywa assumpcyę w głąb piekła, z dwoma duszami: Fausta i Małgorzaty w szponach, niesiony w chmurze małych diablików i ogonistych nietoperzy, w płaszczu krwawym, szytym piorunami nocy letniej, po zwyciężeniu świata.... Ale flagellą piorunów uderzył Bóg. Nagle zaświtał poranek — powiało jakieś tchnienie boże, wonne, harmonijne i twórcze, jak promieniste tony organów u szczytu tejże symfonii, — i w mgłach srebrnych poranku stała znowu otulona osika, cicha i dziewicza, że Preller mógłby ją przesadzić w przepyszne światy swoje Homeryczne, Ferrogio umieścić w swoich gajach nocnych, a Szwind uwić na niej gniazdo którego z siedmiu kruków. — I żaden liść jej nie drgnął — stała niema jak zakonnica natury, lub poświęcone drzewo starosłowiańskie, jak postać zdrzewniała cze-

kającej oblubienicy, której duszyczkę śród burzy nocnej wzięła zapłakana, z mieczem w sercu, nad lasem przelatująca z czysca Bogarodzica.... Łza i uśmiech na licach natury luzują się — jak na licach kobiety — uśmiech wiosny różowy, wesoły, z perłami łez radości, — i uśmiech jesieni czerwonawy, smętny, ze łzami tęsknoty, oszronionemi doświadczeniem żółtych liści.... Ciszę natury zaklął cudownie Szirmer w swoim krajobrazie „Grota Egeryi“ [1]) — z rozesłanem, cichem zwierciadłem wód i na nich rozesłanemi liśćmi wodnemi. — Majestat jej oddał Calam w swojej Monte Roza [2]), w obec którego gną się kolana, a całość obrazu woła imię Stwórcy, — ironię natury oddał tenże w swojej burzy Alpejskiej [3]), w której tyle szału, zniszczenia i wściekłej walki żywiołów, że sam Sziwa Indyjski mógłby zeń skorzystać na dzień swego zniszczenia, gdyby przez ironię zniszczywszy świat i światy wszystkie, zapragnął zniszczyć samego siebie.....

I pieśni ptasie mają swoje łzy. — Czyś słyszał we mgłach poranku jesiennego nad szuwarami naszemi jęki czajek, jak duszyczek czyscowych, i w ołowianem niebie ginący chór żurawi mający coś z skargi emigracyjnej i z tułactwa sztuki, jak ów przeboski chór smutnych pielgrzymów z Tannhäusera, jak symbol

[1]) Lipsk. [2]) Idem. [3]) Idem.

dusz wyższych, płynących w świat lepszy, ale z krzykiem boleści, gdy ci pod nogą szeleszczą oszronione, zżołkłe liście jesieni. — —

Ileż łez nie wypłacze słowik? — Szopen ma w sobie coś słowiczego, — a słowik coś Szopenowskiego, rzewnego, jak poezya Lenartowicza.

Łzę Matki Polki — unieśmiertelnił Grottgier w swojej Polonii, gdzie matka przy chowaniu poległych uklękła z boleści nad ciałem syna; niemniej uroczo oddał ją przedstawiając chwilę, gdy wieść nieszczęsną wyczytano w dzienniku; obraz ten tym jest oryginalny zwłaszcza, że prawie wszystkie twarze w nim pozasłaniane, a jednak w każdej postaci tyle boleści rozrzewniającej, a na stole rzucony arkusz z napisem „Czas,“ zdaje się być tylko symbolem Nemezy wieków. — U szczytu jednak dla nas stoi pierwsza kartka tego szeregu utworów — Matka z zasłoniętą twarzą, broniona przez trzech synów: obraz ten, co do kreacyi, intuicyi i potęgi boleści, śmiemy porównać z powrotem z Golgoty Delaroche'a. —

W świeżo wyszłej jego Lituanice, o której tylko wspominamy, bo o niej bez osobnej całości, w tych ciasnych ramach, mówić nie godzi się, talent ziomka naszego przeszedł w fazę geniuszu. — Że wspomniemy tylko z tego szeregu pierwszy i ostatni obraz — Ducha śmierci, przewiewającego nad ciszą zarośli wodnych i prastarych kniei, cienistej Białowieży, — i zja-

wienie się Bogarodzicy Częstochowskiej w podziemiach kopalni. — Niewiasta wysilona męką ducha i ciała, zdaje się być blizką szału i zwątpienia — Królowa Korony Polskiej jawi się przed nią w sukience, od jej ojców danej, i podnosi złamaną świętą męczennicę tak, jak podnosi na duchu niejedną matkę Polkę, która z mężem poszła dzielić twardy los wygnania, z uśmiechem anioła niosąc te ciernie, o których, jak kolą, wie tylko ten Bóg, co je nosił!... Takim Polkom cześć!... — Obraz ten, równie jak cała nieśmiertelna Lituanica, (ta pierwsza epopeja największego z powstań, którem szczęsne i dumne może być biedne pokolenie nasze), stawiają młodego mistrza nie tylko na czele malarzy, ale i w rzędzie wieszczów, natchnionych miłością świętej sprawy. I zaprawdę, niemówiąc już o wielkiej stronie estetycznej, ołówek jego nad sto karabinów służyć będzie ojczyźnie!...

Straszliwą jest łza starca; ma w sobie coś przenikającego do głębi — straszliwsza człowieka niemego, najstraszliwsza ślepego — kiedy Belizaryusz woła z wypalonemi oczyma w legiendzie: „O! gdybym miał łzy!“ ten krzyk równa się tylko krzykowi zrozpaczonego człowieka: „O! gdybym mógł się modlić!...“ choć już sam krzyk ten jest modlitwą!... Straszną jest łza wdowy pokrzywdzonej, i łza wyrobnika równie jak łza murzyna, ale nie mniej straszną, straszniejszą łza człowieka czującego,

że mu dano uczuć jakieś dobrodziejstwo, dawniej mu wyświadczone, w sposób obelżywy...

Nic smutniejszego, jak łza artysty lub wieszcza, który czuje, że już wszystko wyśpiewał, jak smutek człowieka, że już wszystko swoje spełnił, bo jeden szturm był mu milszy, niż wszystkie sny na laurach, jeden piorun milszy, niż wszystkie anielstwa ciszy!... W istocie, dwulicowość słowa perfectum, które to dokonanie wyraża, ma w sobie od dawna coś tragicznego, dowodzącego, że nie tu kres człowieka. — Kiedy dążymy do zrobienia czegoś doskonałego, zowiemy to: „perfectum,“ ale kiedyśmy już spełnili, to perfectum znacząc rzecz doskonałą, znaczy od tejże chwili rzecz przeszłą — ale tu zarazem ujęty jest związek nasz z nieskończonością tego świata — dla tego łza nad ruiną jest łzą względną, jak sama ruina.... Podobnie dwuznaczność wielka słowa „virtus“, ta tajemnica wielkości Rzymian, dokąd pamiętali że cnota męztwem, a męztwo jest cnotą.... Poezya i muzyka postawiły pojęcie łzy na wielkiej wyżynie — prócz Graya, trzej poeci Albionu Byron, Moore i Schelley zostawili poemat o łzie, jak trzy stopniowania boleści. W starożytności wyżej jeszcze o niej śpiewano: „sunt lacrymae rerum....“ — a cóż cudowniejszego, jak powyżej zacytowana strofa o łzach i ich związku z człowiekiem, przez nieśmiertelnego Adama! i co smętniejszego, jak

łza drogiego nam wieszcza Bogdana z nutą Moniuszki!...

Muzyka niemniej pełną łez bywa — że tylko wspomnę słowiczość Szopena, Peri i raj Szumana, które jak sam mówił, pisał krwią swego serca, a nadewszystko łkający psalm Liszta „Super flumina Babilonis,“ tę pieśń łabędzią tytanicznego mistrza. — Słyszałem ją raz w kościele — części jej stanowią: arfa, głos niewieści, organy, chwilami skrzypce i niekiedy chór,... poczyna się smętnem wyrzekaniem arfy, której drżące tony, wzlatując wolnym rytmem, porywają w swój świat skarg i żałości, niewieści głos odzywa się jak anioł, wiejący nad ruinami, łzawo się żali aż przechodzi w głośniejsze recitativo, — skrzypce poczynają snuć tony jak przędzione z księżyca i z woni róż, co płaczą na gruzach w jego blasku... a chwilami odzywający się jak z dalekich światów chór, woła: „Jeruzalem! Jeruzalem!“ jak głos całego narodu z przepaści wieków, jak westchnienie ludu z niewoli, a każden krzyk stopniowo coraz czystszy, boleśniejszy, aż ostatni wzlata najwyżej i przebija niebiosy... a na ziemi tylko łza zostaje po nim — i zda się ludzie słuchając, płaczą cicho jak kamienie, a kamienie poruszone zdają się płakać — jak ludzie!...

I znowu w inne światy porwały mnie łzy ludzkie.... Oto łza Gladyatora konającego samotnie w pustej już arenie, gdy mu na myśl

przyszły niwy rodzinne, i matka stara i dzieci... a oto łza zawodu, gorzka jak piołun, na samobójcy mogile, i jeszcze łza brata za siostrą, łza bratniej miłości, a daléj na róży spalonej łza drżąca, spłakana nad kochanki mogiłą... a o podal jej na falistej przestrzeni cmentarza łza wygnańca, który po latach wróciwszy z Sybiru, tam szuka za swojemi!... a jednak bardziej gorzka łza wygnańca — co kona bez ojczyzny i tylko gródkę ziemi do ust przytula, jak naszych tysiąców tysiące, co mesyaniczne dusze oddali na świadectwo prawdzie nieśmiertelnej, co będzie gwieździć, choć gwiazdy pogasną.... I w odmęcie tym ujrzałem pierwszą ale i ostatnią razem łzę człowieka, co zawsze śmiał się ze wszystkiego i wszystkich, i łzę jakąś okropną spłakaną za kratą obłąkanych, a daléj łzę dziewiczą, świętą, u kraty klasztornej spadłą, gdy za nią zamknięto drzwi na wieki... i jeszcze łza poczciwego sybaryty, w którym serce niecałkiem zatyło, przy bezłzawości opasłego mnicha, który z uśmiechem wypija na stypie bogacza ostatnią kroplę wina, bezczelnie zwanego: „lacrima Christi“ (!!) rzućmy zasłonę! Wspomnijmy tu łzy żydów, którym za pewną opłatą wolno było płakać i ryć imiona w gruzach Jerozolimy, i łzy za biletami na pogrzebach Warszawskich — o historyo, jakżeś pełna ironii wróżącej nemezę!... Oto nowe łzy błysnęły z daleka — łza kobiety łaknącej wykształcenia, przed której

męzką duszą zaparto bramę świątyni wiedzy... to zbrodnia! — dalej łza młodzieńca, któremu złodzieje jego młodości miłościwie łamią skrzydła, uczą pełzać i narzucają wstrętny zawód w życiu, dokąd pomyjami swoich teoryi nie zaleją piekła jego zapału... i to zbrodnia!... i łza dziewicy, wleczonej przed ołtarze złotego cielca... i to zbrodnia!... i łza sieroty, której kobietę nienawistną każą matką mienić... i to zbrodnia!... i dwie łzy dwóch ludzi, co się raz pierwszy w życiu spotkali i na wieki pojęli, ale znów rozchodzą się na całe życie.... I łza Romea i Julii! i łzy nieme Oświecimów. I łza ojca, co w najlepszej woli stracił byt swej rodziny.... Łza człowieka, co przeżył wszystko... i człowieka, co cynika udawał, i takiego, co kamień udawał, i takiego, co był kamieniem.... A oto najczystsza wśród łez — łza wybranego kapłana, ojca ubogich, sługi chorych, brata grzeszników, dźwigni zrozpaczonych... i oto jak brylant w słońca promieniu, drży pod gotycką kratą konfesyonału łza spowiednika... dalej łza lekarza człowieka,... i łza człowieka, co nie ma jednego serca, któreby nazwał swojem, któremu rzekłby: „cierpię!...“ ale który wielu dźwiga i pociesza, a więc szczęśliwy, choć nie ma dłoni, na którejby czoło oparł... I oto łzy dwie pożegnalne młodzieńca i dziewicy; noc majowa otacza ich cieniem skrzydeł anielskich... lipy stare szumią tak miłościwie, jeszcze chwila,

chwil parę... i rumak zatętnił w oddali — a każde z serc pokrył młyński kamień.... Oto jedna — z ostatnich, łza zwątpienia, pełna trucizny... która zwykle dopełnia czary żywota!... i przeważa szalę boleści — wylęgła w źrenicy Kaina, pełna przekleństwa i zgrozy wyschnie aż na licu żyda wiecznego tułacza.... Witaj mi, cicha łzo Homera za światłem i Helladą!... i ty pieśni Ossiana w mgłach wiejąca, boska, jak uśmiech pięknej, zapłakanej kobiety. — Odbłysnęłaś w oku Tassa zdziczałem, przepadłaś w bezłzawej Danta źrenicy, powlekłaś ciemne okoko Miltona, stałaś się uśmiechem Moliera, uśmiechem Russa, uśmiechem tysiąca; płakałaś po różnych drogach wygnania, błysnęłaś w źrenicy orlej Szyllera, w Missolonghi stoczyłaś się jak po licu Łazarza, z twarzy Manfreda marmurowej przedziczałaś w skowytanie Heinego, tej kałuży pełnej pijawek, w której tak cudownie i tak cudacznie odbił się zachód słońca i w płacz krwawy Mussteta, i w zgrzytliwy dyssonas Schelleja; spadłaś jak piołun na Roethla ołówek... i płynąc dalej, skamieniałaś Nioby boleścią w Irydionowej źrenicy i spłynęłaś z liców Anhellego, by stopić śniegi Sybiru, na wiosnę przyszłą... tu szczyty twoje — i jak w kropli wody żyjątek miliony, tak w łzie uczuć i boleści miliony, smętności Cerery i miłości Izydy pełnych. Ale tu się przesila boleść łzy — dochodzi do łzy jednej, w której wszystkie przepadają — do łzy na-

rodu — który wytężywszy wszystkie siły, na nowo upadł pod przemocą niewoli — w tej łzie narodu przepadły wszystkie łzy pojedyncze człowieka!... ale ztąd — poczynają się łzy radości!... łzy zmartwychwstania....

O łzo! pociecho smutnych, niepocieszonych! łzo powrotu z tułactwa! łzo matki odzyskującej dziecię!... dziecięcia matkę! niema łzo narzeczonej, witająca bohatera — — łzo wielka narodu! odzyskującego niepodległość, idącego razem dłoń w dłoni, przy biciu dzwonów do prastarej ojców świątyni, złożyć jak dawniej miecze i sztandary!... o łzo! nie spadaj z kłosa poranionej duszy ludzkiej, świeć na niej, bo dokąd ty jesteś, dobrze jest, boś ty odkupieniem! i u ujścia swego zlały się te łzy wszystkie w jedną łzę Zbawiciela, spłakaną na krzyżu za wszystkich! Z tym strasznym ludzkim krzykiem: „Ojcze mój! ojcze, czemuś mnie opuścił!“ na myśl złego, i na myśl, że ludzkość nie cudem, ale tylko trudem własnej pracy i łez dopłynie do ideału i wypełni się!... w tej łzie przepadły: łza Piotra żałującego, i łza, której nie dopłakał Judasz... jedna tylko jak czarna kropla nie pomieściła się w tym Oceanie — to łza zdrajcy ojczyzny!... i wroniem okiem przepadła na dnie bezdennem!... I ujrzałem wielką tęczę odbitą na niebie, ale już z łez radości — piękniejszą niż po potopie — — łzy te radośne gwieździły na oczach ludzkości po wiekach, idącej z palmami

w dłoniach, z hymnem miłości na ustach, błoniami pobojowisk w objęcie rozwarte ojca, do stóp Przedwiecznego z głosem: „Consumatum est!“... A łza ojca odbłysła im zwierciadłem wieczności... jasnem jak sprawa Polski!... i hymnem tym konała arfa drżąca, którą znów porwał anioł poezyi, a łza spadła mu na strony i odlatując, zdał się wołać szumem skrzydeł olbrzymich: „Łzo! tyś symbolem prawdy na ziemi!“...

Na Szlązku, 1866.

II.

Monografia uśmiechu.

Poświęcone Ali....

Freude! holder Götterfunken!
Tochter aus Elisium!...

SCHILLER.

Der Ursprung des Lächerlichen ist die Parodoxe, und daher unerwartete Submission unter einem ihm heterogenen Begriff, und bezeichnet demgemäss das Phänomen des Lachens die plötzliche Warnehmung einer incongruenz zwischen einem solchen Begriff, und dem durch denselben gedachten Gegenstand, also zwischen dem Abstrakten und dem Anschaulichen. SCHOPPENHAUER.

Wer den Dichter will verstehen,
Soll in Dichters Lande gehen....

GOETHE.

Uśmiechu! wdzięku wiosny! oddechu róż! dziecię radości! witaj w dolinach ziemi!... Łzą poczyna się życie człowieka, uśmiechem kończyć by się powinno... Więc lepsza część do-

stała się w udziale uśmiechowi niż łzie, choć nie tak wielka i głęboka. — Przejście z łzy do uśmiechu jest niezmiernie subtelne — i pajęczej wątłości, że trzeba się oń obawiać, jak o barwę skrzydełek motyla. — Boć radość jest matką boleści, a boleść radości matką!... Człowiek co przebolał, z człowiekiem co myśleć poczyna, mają się do siebie, jak pierwsza łza do ostatniego uśmiechu... Kiedyś w wiejskim kościołku unickim pewien kaznodzieja ludowy nazwał cierpienia talentami. Sam może nie miał świadomości, jak głęboką rzecz wyrzekł. — Rzekł to, rozwijając ludowi ewangielią o talentach rozmnożonych i zakopanych — i zaiste!... cierpienie jest wielkim talentem, co przynosi inne, bo cóż większego, jak umieć cierpieć?... co bardziej wznosi człowieka... a co go bardziej poniży, jeżeli ten talent zakopie łopatą samoluba i pójdzie dalej z uśmiechem zwierzęcym? Która wielka, twórcza dusza, była bez cierpienia, powątpiewań najstraszniejszych i najczarniejszych rozpaczy? — wolę ironią zgrzytającą człowieka, co się złamał w walce szlachetnej, niż bydlęcy uśmiech cynika, co dał prawo obywatelstwa namiętnościom i przyszedł do tej równowagi, której wiecznie szuka dusza po za ziemią.... Nic bardziej rzewnego, jak uśmiech człowieka, który już ani jednej łzy nie ma: patrzcie na taki uśmiech boski na licu

Chrystusa della moneta Tycyana [1]) i Chrystusa Szeffera [2]), strącającego szatana.... I na ludzkich ustach taki uśmiech płacze całe lata — taki płakał ostatniemi czasy na cichem licu króla wieszczów naszych Adama.... Nic straszniejszego, jak uśmiech obłąkania.... przypomnijcie sobie uśmiech w obrazie Velasquesa, wyobrażającym waryata bawiącego się kwiatkiem [3])... Czy pamiętacie wdzięk uśmiechów Correggia w jego Notte [4]), i na licu św. Małgorzaty, i uśmiech, który dał św. Sebastyanowi [5])!... Dalej nie z tego świata uśmiech Sykstyny [6]) — i pełen wszystkich rozkoszy przechodzących w świat lepszy uśmiech madon Murylla, i uśmiech św. Małgorzaty Rafaela, tratującej smoka [7]), i uśmiechy Fra Angelica anielskie i Perugina pełne smętności.... Nie zapomnę nigdy uśmiechu Matki Boskiej w chwili zwiastowania, przez Veroneza [8]) — jest tam cudowne połączenie dziewiczości z macierzyństwem, w naiwności bez granic i anielskiej pokorze, którego antistrofą uśmiech boleści madonny Solimena!... Czarującym jest uśmiech św. Cecylii Rafaela [9]), pełnym tęsknoty św. Cecylii Szeffera [10]), zadumania pełnym św. Cecylii Delarocha [11]), dziewiczości anioła ś. Cecylii Carlo Dolce [12]), wdzięku bez granic św. Cecylii Dominikina [1]), a klasyczności ziemskiej pełen św. Cecylii Rubensa [2])... tak jak sentymentalizmu św. Cecylii Poussina [3]), a prostoty pełnej królewskości i królewskości pełnej prostoty świętej Cecylii van Eyka i świętej Agnieszki wielkiego Alonsa Cano [4]). Malarze tutaj wymownie wypowiedzieli związek uśmiechu z muzyką... uśmiech zachwycenia jest słońcem życia, inny zaś uśmiech prześliczny swobody dziewczęcej, piękniejszy niż pączek róży wiośniany, jak na licu Lawinii, córki Tycyana [5]). — Szkoła Flamandzka dała nam pustotę i rozpasanie uśmiechu. Hogarth nadał mu cechę filozoficzną, subtelną i głęboką, która przy wielkim komizmie w jednej chwili czasem zdolna jest przerazić, jak śmiech dziecka przy śmiechu wyszczerzonej w słońcu, wśród kwiatów, trupiej głowy, w której wąż się zagnieździł — i Holbein schwycił pewien rodzaj uśmiechu intelligencyi mistrzowsko, że wspomnę tylko portret Erazma Rotterdamczyka [6]) i Anny Boleny [7]). — — —

Strasznym jest uśmiech efronta, straszniejszym cynika, obrzydliwym ultra sceptyka, obrzydliwszym starej, bezczelnej kokietki. — Uśmiech dziewiczy ma w sobie coś boskiego, jak uśmiech Ewy przed grzechem, uśmiech kobiecego tryumfu jest pełen odcieni, niemniej

[1]) Drezno. [2]) Paryż. [3]) Wiedeń. [4]) Drezno. [5]) Paryż. [6]) Drezno. [7]) Idem [8]) Wiedeń. [9]) Bologna. [10]) Sztych. [11]) Drezno. [12]) Paryż.

[1]) Berlin. [2]) Paryż. [3]) Paryż. [4]) Paryż [5]) Berlin. [6]) Madryt. [7]) Obie w Berlinie.

uśmiech niedowierzania, i uśmiech zgorszenia, co zastąpił rumieniec. —

Prześliczny jest uśmiech genialny Shakespeara, jakby go Holbein był umiał pojąć! jak go Kaulbach pojął w swej reformacyi i rozrobił na licach jego bohaterów, od Mirandy aż do Calibana, szkoda tylko, że Caliban nadto przypomina opętanego z obrazu Rafaela [1]). . . Żadna łza nie jest tak łzawa, jak uśmiech Moliera: przypomina on płaczący uśmiech Kolumba nad postawionem jajem w obrazie Hogarta [2]). — Pełen rzewności jest uśmiech Bajrona, Szelleya pełen rozpaczy, Woltera pełen sarkazmu. — Tu poczyna się, z przejściem w sarkazm, straszliwa strona uśmiechu. — Często, jakkolwiek pozory mylą, można z rodzaju śmiechu poznać człowieka — i to nie tylko, jak mówiono, głupiego po śmiechu jego, bo śmiech i uśmiech mają tyle odcieni szlachetnych i podłych, pięknych i obmierzłych, czarujących i gorzkich, że często zdradzi tam, gdzie słowo udaje prawdę. Ludzie szlachetni mają śmiech gwałtowny, wybuchający dziecinnie i naiwnie, uśmiech podłej radości ma coś z ryku tygrysa i łkania krokodyla. Oto straszliwy uśmiech szpiega, który nie przestał być człowiekiem, w chwili, kiedy wyciąga dłoń po pieniądze, które go palą — uśmiech spodlonej kobiety, która jeszcze nie całkiem ze-

[1]) Gobelin w Dreznie. [2]) Londyn.

zwierzęconą, dalej uśmiech pijaka, karciarza, oszusta, bandyty i rudego żyda, co konie kradnie, i lazarona, co rozwalony, jak Zeus pod zrujnowanym portykiem marmurowym, leży i żuje swe makarony, udrapowany w kilka jaskrawych łachmanów, że mógłby go malować Muryllo w tej ciszy słońca, gdy leniwa, zmysłowa fala morza pianą niekiedy liże mu brudne wyciągnięte nogi, i cygana wisielca, kiedy obieszonemu śród lasu księżyc cichy zajrzy w oczy... A oto patrzmy na grupę, co już dawno zginęła . . . siedzą pudrowane postacie w pysznej, jasnej komnacie, dowcipy iskrzą się, jak w czartowskiej kuźni . . . Oto siedzi . . . . . twórcze przeczenie, zwane Wolterem, gdy poklaskuje podziałowi Polski i apoteozuje w Katarzynie podłość podłości, sarkazm, zwany Diderotem i świństwo, zwane Lamettrie!... kiedy Rousseau z rozdartym uśmiechem boleści tułał się po świecie, ten jeden człowiek dobrej woli na Zachodzie w XVIII. wieku, jak go tylko Narcyz Brachvogla a raczej Dawizon rozumiał. Dalej patrzmy na uśmiechy dyplomatów kongresu Wiedeńskiego — siedzą razem pełni sromu, a jest tu wszystko, prócz miłości i sumienia!... I cóż z nich zostało? „z owoców ich poznacie.“ Patrzmy dalej na uśmiech, gdy lata nie bywał na twarzy i wraca, oto zakwitł smętnie na twarzy dumnej artysty, wywołanego po latach zapoznania i potwarzy! . . . boski on i straszny. — Człowiek, co cierpiał gwałtownie i

długo, ma zwykle w twarzy jakiś wyraz srogości; spotkałem raz takiego znajomego, który idąc najprozaiczniej w świecie, zajadał gruszkę, ale był w nią tak zakąszony, że wyraz jego mógł posłużyć do kartonu Ugolina....

Piękny jest uśmiech szlachetnego tryumfu, przepyszny bywa tragiczny uśmiech pogardy na licu Rachel lub Ristori, i uśmiech Jaga, Szyloka i Ryszarda III. na licu Dawizona, — nigdzie kobiecość nie otrzymała tak strasznego policzka, jak w pierwszym dyalogu Ryszarda III. z Anną, gdzie trumna męża w jednejże chwili świadkiem przekleństw i żałoby a po chwili zaręczyn, uwieńczonych szatańskim śmiechem Ryszarda! Lady Makbet nie jest tak przerażającą, i za tę scenę baby mogłyby ubić Williama, jak ongi Orfeusza....

Oto znów uśmiech despoty, znaczący uśmiech Richeliego i pełen napuszoności Ludwika XIV. — Nikt tak nie oddał pogardy rzeczy ziemskich, jak Delaroche, w obumarłym uśmiechu Maryi Antoniny, idącej na rusztowanie [1]).

We Francyi, gdzie kobiety odgrywały podobną rolę w społeczeństwie jak uśmiech w twarzy człowieka, a woda w parku, ma on jako jedna z tajemnic ich wdzięku swoją niepospolitą charakterystykę, czuły a raczej rozumiały

[1]) Ze sztychu.

one to same — znali to ich sylwetkarze z profesyi, od miniaturowego Papy Balzaka do marnotrawnego ojca i zgrzybiałego syna Dumasów. —

Monarchiczna, zadziwiająca pewność siebie przebija się w martwym uśmiechu P. Maintenon [1]), obrzydły bezczelnością musiał być uśmiech P. Mauntoban, pełen lubego macierzyństwa jest uśmiech P. Sevigné, pełen godności w cierpieniu uśmiech naszej Maryi Leszczyńskiej, tej pszczoły francuzkiego dworu.

Pycha parafiańszczyzny wyszczerzać się musiała z szpiczastych ząbków p. Pompadour, pełen intelligencyi szlachetnej i dumnej do końca był uśmiech p. Roland, prostotą naiwną i zdrową kwitł uśmiech Karoliny Corday, wyniosłością i próżnością błyskał uśmiech Maryi Antoniny, ujmującym i słodyczy pełnym bywał na ustach Józefiny, pełen zgłupiałej rasy na wardze Maryi Ludwiki. — Konwencyonalnym był uśmiech p. d'Abrantes, czarujący i cudowny wychylał się z pod rytmu wachlarza, jak z pod skrzydła motylego, uśmiech p. Recamier, nad którym rozpływał się Chateaubriand, a który był w stanie rozdąsać Napoleona. — Pretensyonalny i przerutynowany bywał uśmiech p. Stäel i jako taki musiał działać u ludzi często szkodliwie dla niej; od Schyllera do

[1]) Portret spółczesny w pałacu księżnej Berry w Wenecyi.

Kościuszki. — Nic sprzeczniejszego z sobą jak kilkokrotne wspomnienia o niej Byrona [1]). — Senzualizmem filozoficznym przejrzały, błyskający jenialnemi instynktami życia i sztuki jak klinga kindżału w słońcu (szkoda że nieco zardzewiała) czaruje interesujący uśmiech p. Sand. — W uśmiechu tym znać, że on inaugurował tyle innych, że rozpromienił się blaskiem intelligencyi na ustach Edmei, i zesmętniał melancholicznem znamieniem sztuki na ustach Consuelo, a zdziczał Tytanów siłą na dumnych wargach Lelii tragicznej —, tak jak znowu zakraśniał na jagodach Poczwarki, jak się rozpłakał na ustach spalonych Julii i jak pobielił wargi Spirydyona. . . . Piekielnie żałować przychodzi, że kopuły tych gmachów cudnych jak dzikie w dziewiczych latoroślach, upowite gmachy indyjskie, podziurawione dyssonansami moralnemi, jak uśmiech Panny Quentigny, wyglądający wśród tylu skarbów genialnej artystki! jednej z największych malarzy tak natury jak serca ludzkiego, jak takie przeczenie mimowolne, jak słowo: „perfectibilité“ na ustach Lukrecyi Floriani, jak ateizm na ustach młodego Sorède [2]) — i tyle szlachetnego Frumence! [3]) A jednak nikt bez podziwienia nie wspomni o uśmiechu Stenia [4]), utopionego wśród roślin podwodnych, cichych jak sen jego

[1]) W listach. [2]) Mr. Sylvestre. [3]) Confession d'une jeune fille. [4]) Lelia.

śmiertelny, o uśmiechu strasznym Bozzy [1]), pełnym pychy wszystkich szatanów pomnożonych przez wszystkie mierności — i o typie artystów uśmiechniętych tak gorzko Tewerinie, kiedy mówi o boskiej dziewczynie, zwołującej ptaki niebieskie — i Szopenowski uśmiech Józefa skrzypka [2]), i jeszcze uśmiech Zdenka [3]), a uśmiechy murzynów, których tak wydatnie oddało jej pióro — obejmujące wszystkie sytuacye życia — od spokojnego uśmiechu panny Valangis, do wyrazu pogodnego i świadomego siebie Valvedra — i do łzy bezimiennej Jaqua w bukiecie róż zabłąkanej, tak rzewnie, tajemniczo, perłowo! . . .

Uśmiech jest jednym z głównych wdzięków kobiety, wyrazem dziewiczości i słodyczą macierzyństwa; kobieta bez poezyi jest jak roślina co nigdy nie kwitnie, kobieta bez uśmiechu, jak piękny ogród bez zwierciadła wody, kobieta bez uczucia, jak Jnez de Castro po śmierci, uśmiech jej podobny błyskaniu pruchna i łusce węża, ale najnieszczęśliwszym jest uśmiech kobiet, które się zawsze i niewiedzieć czego śmieją, krok ma tylko od słowiczego tonu do rechotania żab, jak krok tylko od wzniosłości do śmieszności, od patosu do karykatury, od szczytu do otchłani. Byron w trzeciej części swego Charolda, nieporównanej

[1]) Mosaistes. [2]) Sonneurs. [3]) Consuelo.

smętności i wdzięku, nazywa uśmiech kanałem dla łzy przygotowanym....

Jakaś wieść z lepszego świata cudu pełna zaklętą jest w uśmiechu uwielbienia. — Oryginalnym bywa uśmiech człowieka skłonnego do optymizmu. W oddaniu pochwały drugim jeniusz jest zwykle optymistą tak, jak mierność na wszystkim szuka plam, prócz na sobie, i często woli zdechnąć, niż drugim wymierzyć sprawiedliwość. — Pociesznym jest uśmiech człowieka, który myśli, że powiedział coś mądrego, a urżnął głupstwo solenne, o taki uśmiech posądzi mnie nieraz może niejeden wspaniałomyślny krytyk z plejady trzody piszącej oficyalnie, ale pomyślawszy to, ostrzegam go, że się w tejże chwili uśmiechnie tymże uśmiechem. — Obrzydliwym nad trądy jest uśmiech Polki, tańcującej w roku powstania, kiedy dziesięć tysięcy braci nie zastygło w mogiłach; dłużej orły pamiętają o ich kościach niż te bohaterki nowoczesne bez ojczyzny, niż te podłe lafiryndy, wzrosłe jak konopie, niewiedzące po co i do czego, toć straciwszy ojca lub brata, rok chociaż noszą żałobę, a nie donosiły jej po tylu zamordowanych męczennikach świętych! wiwat kosmopolityzm i wygoda! ale Bogu dzięki jest ich niewiele. —

Coś szatańskiego ma uśmiech kobiety radej że się zemściła, o ileż bardziej anielski jest uśmiech kobiety, która przebaczyła; unieśmiertelnił go Scheffer na świetlanym licu swojej

św. Moniki tak, jak Wiktor Hugo, ten Rubens poezyi na twarzy umierającego w opuszczeniu Waljeana, który nie chciał, by go nawet uśmiech jego tyle bolesny zdradził.

Oryginalnym był uśmiech tolerancki cesarza Józefa II., tego kaprysu historyi, którego Niemcy chcą mieć męczennikiem postępowych idei, szkoda tylko, że dławione przez niego narodowości krwią zapisały protest przeciw temu; była to parodya Fryderyka II. bez jego rezultatów.

I na twarzy Fantiny [1]) w jej boskim bezzębnym uśmiechu, gdy śliczne swe zęby przedała, by dać chleba dziecku — i włosy ostrzygła i przedała, by dać chleba dziecku. — — Ten uśmiech poświęcenia przeciwstawiemy bezczelnemu uśmiechowi egoisty — który urąga wszystkiemu co nie z niego — i z politowaniem patrzy na sobie niepodobnych waryatów. — I nawrócisz bandytę, i nawrócisz złodzieja, nawrócisz szpiega — i ateusza, ale egoistę nie! bo na egoizm nie ma lekarstwa; on zawsze kiełkuje jak ziemia, skoro tylko może i gdzie może. Nawróć go, przewróć go, wywróć go — on zawsze wyjdzie na swoje. — Dalej pełnym smętności jest uśmiech zapomnienia, którym przez zapomnienie rozśmiał się człowiek nieszczęśliwy, by za chwilę znowu posmutnieć. Nie żądaj niczego prócz zapomnienia, a nie zapo-

[1]) Hugo, Miserables.

mną nigdy o tobie. — Dalej gorzki uśmiech człowieka, gdy czuje słabość swoją — czy to wobec potęg materyi, których zdeptać nie chce, udając przed sobą samym brak siły, czy na myśl, że nie ma siły cofnienia złego, które spełnił, wskrzeszenia najlichszego robaka, którego rozdeptał na drodze, czy to nad tajemnicami ducha, które bada napróżno, czy nad bezmiarem morza ryczącego śmiechem demonów — czy gdy otwarłszy okno, utonie w ciche gwiazdy nocy majowej, czy wreszcie kiedy otworzy okno duszy swojej i zagłębi się jak orzeł w przepaście własne — czy kiedy pocznie wątpić o sercu żony, czy kiedy z rozdzierającem uczuciem zwątpi w serce przyjaciela, lub w własną siłę bycia wiernym zasadom swoim przeciw całemu światu — wszędzie ten uśmiech słabości urąga na jego licach, a ma prawo straszliwie się urągać, bo więcej złego przez słabość, jak przez złość się dzieje, i trudniejszą odwaga cywilna niż wojskowa. Dalej uśmiech radości dziewiczej, wiosennej, tak, jak go genialnie w śpiewie swoim stopniuje nieporównana kolorystka pani Artot, gdy w pierwszym akcie Trawiaty woła bez końca i końca tylko to jedno słowo „Gioja!“ z całą nieskończonością jego ludzkich, łkających odcieni. To znowu uśmiech zemsty — jak go strasznie oddał Halewy w ostatniej scenie „Żydówki,“ kiedy Eleazar swoim strasznym tam! jak gromem zabija kardynała, a ofiara przepada w płomieniach, orkestra w momencie spadania zasłony wybucha w taki straszny śmiech zemsty tryumfującej, że całe piekło zda się w nim urągać. Co bezbronne mści się najmocniej — tak Baranek Boży zemścił się na świecie, zbawiając go — tak się i Polska na nim kiedyś zemści! i tu przepaść, co ją od innych ludów dzieli i zawsze dzielić będzie! — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Patrzcie dalej — na człowieka czystego jak łza a spotwarzonego, co idzie spokojnie dalej uśmiechnięty cicho i pewnie. — Każden człowiek ma samowiedzę swego dobrego — która winna stać na straży pocieszającej u szczytu jego sumienia, to jest tak wysoko, by jego stóp żadne piany namiętności ludzkich nie dosięgły. Jeźli dosięgną, to znać że go nie ma, bo nie chce, lub mieć nie wart. — Tak jak i samowiedzę swego złego ma każdy — i przysłoni ją blask chwały i zamaskuje ją słowo talejrandowskie, ale zdradzi je niechybnie uśmiech Piłatowy, ten blady, drżący na wargach i niepewny.

Czy to samo nie dostateczne, by się zastanowić nad istotą uśmiechu ludzkiego? .... A oto znowu czarowny uśmiech młodości, nieświadomej życia i jego piołunów — jak lekkie scherzanda w symfoniach Szumana, lub impromptu's Szopena, które przez łzy tak rusałczano się śmieją, których tony chichoczą tak czarująco, że przypominają to ciche bul! bul!

bul! bul! rozmarzniętego strómyka na wiosnę, ginące rytmem radośnym pomiędzy krzewinami poczynającemi pękać, obsypanemi w białe palmowe zawiązki, gotowe na palmową niedzielę!..... Dekadencya umysłu ludzkiego najwybitniej krystalizuje się w uśmiechu — jeźliś ciekaw, przestudyuj twarze królów hiszpańskich, jak je nam przekazały mistrzowskie pędzle Velasquesów i Sanchez Chelów w Madrycie. — Uśmiechy te od Ferdynanda Katolickiego aż do ostatnich Filipów drą się chytrze do władzy, stają na jej szczycie — śmieją się potężnie, dumnie, z całego świata, czy na pobojowisku Pawii, czy nad gruzami Rzymu, czy wreszcie w monasterze Kompostelli. — Karleją już wobec szczątków Armady, w cieniach Eskuryalu na twarzy katolickiego a nie chrześciańskiego Filipa II., a dziecinnieją prawie do idiotyzmu u następców i są z dawnemi tak sporne, jak strzał działa ze skały Rocgun w Gibraltarze w chwili, gdy zachodzi słońce, które tam nigdy nie zachodziło! —

Kobiety poetów polskich, przez wielkich malarzy uwydatnione, mogłyby się złożyć na księgę ćmiącą wszystkie Keepseaki, — z całem bogactwem łez i uśmiechów — a głównie znaleźlibyśmy je w dziełach Słowackiego — jako najfantastyczniejszego z śpiewaków, i znów w dziełach J. I. Kraszewskiego, naszego wieszcza obyczajowego. W Słowackim na przykład:

uśmiech Goplany z gierlandą jaskółek u czoła, i Aliny z dzbankiem na głowie i Swentyny jemiołuszki, tej dumki co się stała człowiekiem, i panny Anieli, gdy z uśmiechem i dużą łzą w oku rzuca kwiatek w wazon z lawy, a pisze do Beniowskiego — „Kiedyś.... każ sobie panny pokazać pokoje — znajdziesz go!“... i uśmiech Fenixany książęcy, i Judyty z siną podkową na piersiach, i smętnej Dejaniry, i Anieli niewinnej, i Maryi Sztuart winnej i Wandy po utonięciu w łodzi uśmiechniętej, i różnica uśmiechów Lilli i Rosy Wenedy — i uśmiech Eloï boski! wreszcie Violetty w galopie z złotą podkową i Aldony tak smutnej.

W Kraszewskim zaś — także niemałe pole dla artysty psychologa, by uwydatnić prawdę tak, jak ją mistrz w słowie przekazał. I tak na przykład, uśmiech prosty a kobiecy Maryi z świat i poety, i łza bladej dziewczyny z pod Ostrej bramy, i owa Smaragdina z dzbankiem w „Powieści bez tytułu“ i ta uśmiechnięta w trumience swojej Frascatella z sztylecikiem krzyżowym na piersiach i Julia zmysłowa w Diable. — Dalej tak przerażająco prawdziwy, cichy i bezimienny uśmiech rozczarowanej Anny z Dwóch światów, i tuż przy nim tyle różny uśmiech drgający na wargach spalonych Poli, i Jaryna dziewicza, i spłakana twarz dziewczyny z Żaków krakowskich, zawodzącej na grobie brata studenta — i owa staruszka zbierająca kule w Kordeckim, i Pepita z pod

włoskiego nieba, i Sabina z czasów Neronowych... wszystkie te postacie cudne zbliży nam piękność w prawdę zmieniona — wszystkie one czekają od szczytów wzgórz, na których dymił stos boskiej Elsinoï, aż do głębi tych wód nocnych, cichych, w których gwiazdy natchnienia ukołysały Maryę Malczewskiego! I oto jeszcze uśmiech człowieka z intelligencyą, który walczy i szarpie się z życiem, którego wszystkie mierne psiuki skubią za nogi, wobec człowieka pulchnego i głupiego co życia używa. — Zaprawdę, jeźli człowiek głupi człowiekowi mądremu wydaje się głupim, o ileż kroć więcej człowiek mądry głupiemu może i ma prawo wydać się głupim! — I jeszcze.— uśmiech człowieka, co chce być powagą lub wyrocznią — ten najśmieszniejszy i z niego bez miłosierdzia śmiać się można.

Niesmacznym jest uśmiech człowieka, który z dowcipu robi rzemiosło, — a lepszym jeszcze uśmiech pulchnego bankiera lub adwokata gracza i bonviventa z przymrużonem okiem — jakże wzbudzającym cześć wyraz pojmującego swe stanowisko, sumiennego adwokata obywatela. — Wstrętnym jest wyuzdany uśmiech pański, gdzie cynizm lub srogość ozłocone świetnością, jak na mistrzowskich portretach Franciszka I. [1]) przez Tycyana, a Henryka VIII. [2]) przez Holbeina — albo nawet na

[1]) Paryż. [2]) Cytowane ze sztychu.

twarzach Mazarynek Delarocha [1]). — Delaroche umiał po mistrzowsku stopniować wyraz twarzy ludzkich, że wspomnimy tu tylko o jego pielgrzymach [2]) przy twarzy mężczyzny, ponurej i pełnej strudzenia w pielgrzmce życia i twarzy niewiasty pięknej jeszcze, ale troskami pooranej; jakże uroczy jest uśmiech leżącego u nóg ich chłopięcia, które jaśnieje między niemi jak wesoły, błękitny strómyk pomiędzy dwoma groźnemi ścianami skał granitowych, szumiący pieśń wiosenną. — Wiosennego wdzięku równie jest uśmiech Adonisa [3]) Thorwaldsena, kontrastujący tak mocno z wyrazem jego boskiej nocy, unoszącej dwoje dzieciątek, jak cudne uśmiechy jego gracyi i amorków, a nad wszystko rybaka, którego dziewczęta rusałczane wciągnęły w świat swój podwodny. Przypomina mi się równie uśmiech starej rzeźby, wyobrażającej chłopca bawiącego się żółwiem [4]), i jedna (z dwóch podobno jedynych) rzeźba Rafaela Sanzio [5]), wyobrażająca chłopię zranione niesione na grzbiecie Delfina —, uśmiechnięte w śnie swoim bosko, jak młoda dusza przeczuwająca głębię własnej nieskończoności. — — Boskim być musiał uśmiech św. Teresy, śpiewającej w czarnej, gotyckiej celi klasztoru Incarnation w Awila, promieniste „glozy“ swoje przy arfie, cichej powiernicy mistycznych

[1]) Ze sztychu. [2]) Berlin, zbiór Raczyńskich. [3]) Monachium. [4]) Lonore. [5]) Drezno, odlew.

dusz, i takim pojął ten uśmiech Tiepolo [5]) w ekstazie swojej św. Katarzyny, równie jak Solimena [1]) w swojej Matce bolesnej, uśmiech jeszcze zapytujący po raz ostatni, ale już pełen rezygnacyi i przebolenia — a Correggio [2]) w swojej św. Małgorzacie uśmiech oczarowania, w swoim św. Sebastyanie, tem arcydziele arcydzieł, uśmiech ekstazy duchowej, w swojej Jonie ideał ekstazy zmysłowej [3]). — Że wspomnimy tu jeszcze uśmiech Matki bolesnej Szeffera, zdający się mówić z podziwieniem: panie! jakżeś wielki, kiedy nawet nad bólem moim możesz panować! . . . i jego św. Monikę, i św. Cecylię, które go czynią malarstwa Szopenem. Tu wspominam imię Roetla, młodego malarza, gdzie Heine i Szuman zdają się spotykać w kreacyach tego strzaskanego olbrzyma. Oto jego rycina „śmierć przyjacielem“ (der Tod als Freund). U szczytu starej wieżycy gotyckiej wnętrze izdebki zgrzybiałego dzwonnika, — w wielkiem karle siedzi stóletni starzec i kona — nad nim na ścianie krucyfix, przed nim biblia na stole — ręce już ołowiane leżą na poręczach karła — poranek — on powinienby dzwonić — ale już nie może — a więc śmierć, famulus jego wyręcza go, i ciągnie sznur podzwonny w jego izdebce — on z nią już tak oswojony, że patrzy „z uśmiechem“ półdziecinnym na dzwoniącą, okrytą

[1]) Wiedeń. [2]) Drezno. [3]) Idem. [4]) Berlin.

mniszym habitem, z muszlą na piersiach, ale tak rysowaną, że przez habit znać kości szkieletu — brrr! aż mrowie przechodzi, głowa jej z mniszego kapturu zerkająca z pewną kokieteryą, odsyła mu jego uśmiech za ten uśmiech ostatni — mający tyle — tyle przeszłości po za sobą — przez wielkie, różnoszybne okno rozwarte widać igiełki wieży gotyckiej i paszcze kamiennych potworów — a w dalekiej dali . . . na dole, ogromna przestrzeń pól, wód, i lasów, nad któremi wzlata słońce poranne — na okno przywiała sobie jakaś ptaszyna . . . taj szczebiocze . . . . . ! jak ów „sweet bird“ w więźniu Chillonu Byrona, szczebioczący nad głową zemdlonego Bonniwarda. — — — Niemówiąc ani o jego freskach Akwizgrańskich, ani o pochodzie Annibala, już ten obraz uderza jak taran geniuszu w krytykę, co odmawiała geniuszu Roethlowi. — — Nikt jednak takiego uświęcenia nie nadał uśmiechowi boleści w malarstwie, jak „boski“ Morales [1]), swoim Ecce homo, które spotykałem po czarnych krużgankach cudownych klasztorów Hiszpańskich — i nikt po nim, jak Murillo, którego madonny jednym typem stać mogą obok Rafaelicznych. — Ileż cudu w uśmiechu dziecinnym i dziewiczym jego Niepokalanego poczęcia w Madrycie, o tyle piękniejszego od tego, co

[1]) Jedyny, prócz Rafaela, którego boskim (divino) zwano. — — —

w Louwrze! Ileż szczęścia w uśmiechu jego św. Antoniego (katedra Sewilska), do którego schodzi w orszaku Świętych dzieciątko Jezus; ale odbiegłem daleko — wybacz moja Klotyldo, znowu powiew myśli powiał gdzieindziej.... Oto — by nikomu krzywdy nie zrobić — uśmiech starej panny dewotki, wracającej z roratów w śpiczastym kapiszonie, z oczyma karpia umierającego, oltarzykiem zatabaczonym, oprawnym w klamerki o niedźwiedzich pazurkach, w asystencyi mopsa i szpica wrzeszczącego w niebogłosy, a z zapasem ploteczek garderobianych, uzbieranych w kościele od czcigodnych kumoszek. Ale odwrotnie — jakże godnym uwielbienia uśmiech osoby, która nie poszła za mąż, bo za wzniośle i za delikatnie pojęła życie, które było pasmem niepostrzeżonych poświęceń dla drugich, ciągłej zależności i cierpień, wiadomych tylko temu, który wie wszystko. Uśmiech krytyki, która, ilekroć chce być oficyalną, jest głupią, ma w sobie coś rozkładowego, pargaminowego, nie tylko przez żółtość swoją. Trudnym do ujęcia jest odwrotnie różny uśmiech krytykowanego, bo on bezbronny i dumny stoi na pręgierzu wyższym od pokrzyw, wolno żakom miotać nań kamieniami i błotem, a ludziom zbrukanym prawić mu o ideale — lub pisać rozbiory niewarte podpalenia fajki, a mści go tylko leniwa opinia, która nierządnie kołem się toczy i vox populi, nieubłagana potomność, której słoneczności zaiste nie ujrzą oczy od

rosy wyżarte, — ale nie budźmy Eumenid — kochamy Beniowskiego, lecz dalecyśmy od wyznawania Beniowszczyzny....

Bogatym w najdelikatniejsze odcienia jest uśmiech rozczarowania gorzki — uśmiech dezilluzyi epidemiczny — a jednak dezilluzya jest rodzajem egoizmu, bo jakiem prawem człowiek niebędąc doskonałym, może się rozczarowywać niedoskonałością drugiego? — nauczyła mnie tego jedna Polka — cześć jej za to. — Choć dezilluzacya jest nieproszonym gościem, który przemocą wchodzi w każde serce, i im większe, tem szerzej się w niem rozgaszcza, kto nie żąda od ludzi więcej, jak od nich żądać można, a od siebie tyle, ile powinien, kto po oziębnięciu stosunku zacznie od poszukania winy w sobie, nie w drugim, ten zaasekuruje się na całe życie od rozczarowań, a prawdziwy zawód łatwiej zrozumie, zatem i łatwiej przebaczy i przeboli, bo wiele zrozumieć, to jest wiele przebaczyć. — Jednotonnym i łatwym do odgadnienia jest uśmiech człowieka wrażeń — który od nich okiełzany, idzie jedynie drogą fantazyi swojej, niebaczny nieraz na głos rozumu, dokąd mu czynem dokonanym nie wrzaśnie sumienie w głębi ducha. — Ale wolę go stokroć od uśmiechu człowieka na urząd rozumnego, w którym uncyi uczucia nie znajdziesz, który praktyczność nie za środek, ale za cel w życiu poczytał, i życie na miarę, a słowa i myśli swoje na wagę urządził — ludzie tacy

z szczytu swego rozumu nieraz staczają się lawiną głupstwa lub potworności, jak de Maistre, kiedy dowodzi, że pewni tylko ludzie powinni się kształcić, by drugimi rządzić, a drugim na nic nauka, niech tylko umieją słuchać [1]), — lub kiedy wielki teolog ogłasza, że kat jest głową widomą sprawiedliwości Bożej na ziemi [2])! Na ten raz, choćby z świętej zgrozy, będziemy zdania Voltera, że dokąd nie ujrzemy, że jedna część ludzi rodzi się z ostrogami, a druga o czterech łapach, dotąd nie przypuścimy na chwilę, by jedni drugich mieli prawo ujeżdżać. — Dziwnie ironiczne jest zjawisko, że właśnie ludzie lękający się przewrotów społecznych, sami je zwykle wywołują lub przyspieszają, widzieliśmy to nieraz niestety! to przekleństwo przywiązane do nich jak kula do nogi dowodzi, że rozum w nich nie jest epidemicznym, a epidemiczną prywata, która śmiejąc sąd indywidualny przeciwstawiać instynktom i rozumowi narodowemu, gotowa i katem się posłużyć, aż terroryzm, w osobie drugiego antikata, przez nią wywołany, nie poda jej krwawej ręki, i razem, kolejno i krwawo, pracują nad odpychaniem dnia sprawiedliwości!... Okropne są uśmiechy Targowickie, których fałdy, jak echo, poruszyły się nawet za dni naszych.... Rzućmy zasłonę,

[1]) Lèttres et opuscules.
[2]) Soirés de St. Petersbourg.

tam gdzie była, niech ją dzierżą dzieje.... i odwróćmy gdzieindziej oczy — oto starzec weteran, co po latach wróciwszy z Sybiru, nie zastał dzieci swoich, zastał tylko prawnuka, na którego patrzy z uśmiechem wybranych, kiedy się dziecię bawi jego wyszczerbioną szablicą.... Nieśmiertelne są uśmiechy świętych ascetów Murylla, mianowicie sewilski św. Feliks z dzieciątkiem Jezus na ręku, a nad wszystko św. Franciszek z Assyżu pod krzyżem, gdy go Zbawiciel jedną ręką, zdjętą z gwoździa, przygarnia do siebie... wyraz jego ma coś już nie z tego świata, a pokora postawiła nogę maluczkiego na głowie globu... by się do krzyża podwyższył — dla nas to największy obraz hiszpańskiej szkoły! — — — A teraz przez sporność przypomniały nam się uśmiechy główek Greuza i niektórych dziewic Guercina... po nich przypomniał nam się humorystyczny uśmiech Dikensa, a wreszcie uśmiech młodej, rumianej gosposi polskiej, która otoczona dziećmi, w chwili, gdy ksiądz proboszcz święci, uśmiecha się z radości, że się baby i placki udały....

Uśmiech Machiawella i Ryszeliego, nie stanie za uśmiech wyrafinowany Napoleona III. jakby się z korrupcyi ogólnej uśmiechał — stojąc sam korrupcyą — Smętny obawą niewieścią, ale pełen gotowości męzkiej; gdyby się w miejscu ks. Berry znalazła, zdaje się uśmiech melancholiczny cesarzowej Eugenii. —

Nic smętniejszego, jak uśmiech dobroduszny świątobliwego starca Piusa IX., który zdaje się opłakiwać złe swego wieku, kiedy szarpie tym męczennikiem, za łotrów odpowiedzialnym, cała hydra jego otoczenia, wszystkie matactwa rządów, które tak w zbrodnię zabrnęły, że w obec ludzkości i dziejów nie mają już dziś tego prawa, jakie miewa każdy zwyczajny i pogardzony zbrodniarz!... Każde prawie złe człowieka da się wytłómaczyć, żadne złe rządów wytłomaczyć się nie da, bo w nich ono jest zasadą zbiorową, systematyczną, która społeczeństwo urządziła tak, że się złe jak trąd chwyta człowieka. Nigdy też katolicyzm nie zrósł się tak z Polską, mianowicie z Litwą jak dziś, kiedy satrapa moskiewski wyrzekł prawdę w Watykanie, że katolicyzm a rewolucya to dziś jedno. Tak jest i będzie jedno, ale nie w takich, coby z polityki byli katolikami, tak jak ludzie bez wiary idący z procesyami Warszawy 1861 r. — choć nie wierzymy by byli tacy!..... Dziwnie spotykają się z sobą dwa młodzieńcze uśmiechy — Hamleta, kiedy Ofelii mówi o klasztorze, i Cordelii — kiedy nie chce powiedzieć ojcu jak go kocha, ona uśmiecha się tylko anielsko, bo słowo byłoby bluźnierstwem i uczucia doczesną mogiłą, — toć kiedy wielka radość wstrząśnie ci duszą, objawi nowe światy, roztopi serce że się łzami pieśni i rozkoszy rozpłynie, to zwierz ją lasom, wodom, skałom — tylko nie ludziom,

bo ci ją strują, splamią, zachydzą, że ją przeklniesz sam w sobie z goryczą piołunu.... Toć kiedy wielka boleść rozedrze ci serce i zatarga wnętrzami, wyspowiadaj, wypłacz ją lasom, wodom, dolinom, księżycowi, wiośnie cichej, skałom niemym — tylko nie ludziom, bo ci ją uczynią stokroć boleśniejszą, dłuższą, potworniejszą, aż się bólem pijany zatoczysz w otchłań rozpaczy i potrzaskasz czoło na kamiennych progach doświadczenia. — — Bo na szalę twą cisną bodaj niepotrzebnego kulfona, byle była cięższa! — Nic bardziej jasnego, miłościwego, pełnego dobrej woli, jak uśmiechy wesołe, choć groźne, na starych portretach ojców naszych, tych twarzy pełnych zdrowia, zapału, wiary dziecinnej a świętej, rąk gotowych chwycić o każdej dobie za kordy, by wedle słów wieszcza: „zbawcę zbawić!“ — A mają je wszystkie oblicza prawie królów i hetmanów, pań i dziewic — charakterystyką ich jest uśmiech króla Jana III. —, niemniej wyraz twarzy Pułaskiego, kawalerski uśmiech księcia Józefa i anielski uśmiech Kościuszki — pełne one miłości i powagi, a zawsze te same, wybrane, boże! Czy pełne grozy marmurowej, jak na sarkofagu hetmanowej Żółkiewskiej [1]), Zofii Ostrogskiej [2]) i Montelupich [3]), czy macierzyństwem promienne, jak Anny Jagiellonki i Jadwigi, czy jaśniejące nieziemsko, jak Bar-

[1]) Żółkiew. [2]) Tarnów. [3]) Kraków.

bary Radziwiłłownej, — czy gotowe na boleści, jak Maryi Leszczyńskiej i Krasińskiej, — czy braterstwem męzkie, jak Chrzanowskiej, Platerownej i tylu — tylu innych!..... dumnym niech będzie człowiek, co się z Polki rodzi!... Rozdzierającym jest uśmiech, który Matejko w swoim obrazie dał Rejtanowi, uśmiech, który przewidział w przerażeniu proroczem Skarga, pojęty tak potężnie genialną myślą naszego młodego mistrza, tego komety na niebie naszej i europejskiej dzisiejszej sztuki, tego proroka przeszłości, pełnego smutku i żałoby, czasem zbyt czarnego, który bardzo przeboleć musiał, nim z jego ducha tyle strasznych postaci i upostaciowań wyszło przed oczy nasze, postaci, na które obecność z korzyścią dla przyszłości spoglądać winna. — —

Cała summa sumienia człowieka, chwilowo go definiująca, mieści się nieraz w uśmiechu i jego różnicy; patrzmy na przykład na uśmiech Tyberyusza, — a Waszyngtona — Napoleona III. — a Lincolna — lub Palmerstona — Cavoura a Bismarcka — Manziniego a Garibaldego. — Pełnym szlachetności i cześć synowską wzbudzający, jest uśmiechnięty wyraz na portretach Smolki, i smętności rycerskiej pełen uśmiech Langiewicza. — Uśmiech pysznego człowieka, który się wścieka w upokorzeniu, podała nam tradycya w twarzy Xerxesa, kiedy zrozpaczony klęską i hańbą swoją, pobity od garstki wolnego ludu, kazał ze złości bić morze łańcuchami za to, że się buntowało tyranowi! — Eschyles podał nam okropny uśmiech Klytemnestry, kiedy witając Agamemnona, kobierce roztacza przed jego stopami. — — Najrozmaitsze graduacye uśmiechów niewieścich, pełnych gracyi i poezyi zaklął Winterhalter w swoich rusałkach, kołujących nad wodami. Dreszczem przechodzą szydercze śmiechy ludzi przedrzyźniających się pysze, siedzącej na tronie gruzów, w fresku Kaulbacha, wyobrażającym pomieszanie języków....

Pełne świętości są uśmiechy w obrazach trzech mistrzów, religijnego nowoczesnego malarstwa: Owerbeka, Corneliusza i Elstera. — Pierwszego Wniebowzięcie Bogarodzicy w katedrze kolońskiej, tak pełne świętego uśmiechniętego wyrazu, że zda ci się, iż gleczery Montblanc i Jungfrau od niego mogłyby topnieć, — drugiego sąd ostateczny w Monachium, i śmierć Romea i Julii w rycinie — tam uśmiech wieczności, tu śmierci spokojnej, tam nieskończoności skończonej, tu nieskończonej skończoności wyraz zawarł się w uśmiechu. — Niemniej wyrazu mają uśmiechy czterech pór roku, dnia i świata, w wielkim fresku berlińskim jego, wykonanego według pomysłu Schinkla — mianowicie twarz Apollina jest tam pełna wyrazu, jak piękność uśmiechnięta w majestacie do natury; — trzeci mistrz Elster, w swojej historyi sakramentów, nadał uśmiechowi wyraz mistyczny, świeży, równie uroczy a bardziej

głęboki, jak Hübner swoim świeżym Madonnom. — Okropnym jest uśmiech kłamany, przymuszony: takim Nero Pilotego okłamuje siebie i rozpadający się świat prastarej Romy. — —

Nigdy nie zapomnę uśmiechu na twarzach jednej grupy Schillinga, tego młodego spadkobiercy wdzięków Thorwaldsenowych, a ucznia godnego Ritschla i Henela. — Wyobraża ona noc pomiędzy snem a marą (Schlaf u. Traum). Noc ujęła za rękę sen, pacholę cudne, śniące coś anielskiego, z makówkami w drugim ręku, a mara u boku nocy stojąca, z motylemi u ramion i skroni skrzydłami, szepcze mu obrazy snów z uśmiechem pięknym jak one — noc pogląda na nich z rozpogodzeniem jasnem. — Pod tą grupą słyszałem rozprawę trzech krytyków — uśmiechy ich choć pobieżnie warto naszkicować dla ich charakteru, który nie miał charakteru; — pierwszy, estetyk z rzemiosła, policyant piękności, zatabaczony rozprawiał o sztuce frazeologicznie a na zimno, jakby sałatę zaprawiał, a uśmiechał się jak człowiek, co się sam słucha, popisując się skarbem swej erudycyi — drugi sensualista piękności, w złem znaczeniu tego wyrazu, z cynicznym uśmiechem a rumieńcem dobrobytu na twarzy, rozprawiał i mecenasował, smakując piękności jak ostrygi — trzeci tylko z uśmiechem zadowolnienia notował, co mówili dwaj pierwsi, bo temu piękność była dojną krową — i pojąłem

czemu żaden prawie umysł twórczy nic dotąd nie skorzystał od krytyki — łazili oni po posągu jak owady, szkoda, że posąg nie czuł ich — taką kamienność wzgardliwą winien mieć krytykowany w obec podobnych krytyków. — — — I jeszcze przypomniał mi się uśmięch Psychy z Capuy, z rozbitą czaszką wygrzebanej — uśmiech tak pełen czaru i muzyki, jak obecne w sercu uczucie przyjaźni — korona uczuć — — szkoda tylko, że ostatnią kroplą na dnie kielicha przyjaźni jest trucizna, która popielato zasępia resztę życia — że uśmiech ten przechodzi w taki smętny, jak na licu Gulnary Szeffera, a czasem tak zrozpaczony, jak na spiekłych wargach jego Franceski Rimini. — Ale pojęcia przyjaźni są tak różne — że tworzą tęczowy kalejdoskop, pełen tajemnic ducha ludzkiego. — Nie wielu pojmuje ją jak Szyller i Byron, a wielu w taki sposób, że wolę dwa konie na wiejskiem pastwisku, które położywszy na grzbietach swoich zwieszone głowy, tulą się razem pod biodra kurhanu, gdy wiatr słotnej jesieni szamocze ich grzywami — — wolę łzy, któremi malarz Robert na głos kobzy napełnił źrenicę swoich wołów i tę twarz wielbłąda — która zajrzała do namiotu ojca zadżumionych!... Charakterystycznym bywa dziś epidemiczny uśmiech blagi — blagery mają swój sposób śmiania się, wyszczerzony i bezczelny —, złożony z wyrazu małpy i kokietki — przypomina się

tu mimowolnie śmiech Falstafa i uśmiech Papkina. — Za nim staje nam w myśli uśmiech milczka, co jest jak woda, rwiąca brzegi cichaczem, a czekający na swego Hogarta polskiego, a wreszcie wyraz śmiejący państwa Jowialskich, od którego samo widmo melancholii musiałoby parsknąć w śmiech homeryczny. — Więcej tam delikatnego komizmu i nacechowanych wad społeczeńskich, niż w tuzinie moralistów i kopie całej komedyopisarzy i rysowników nowoczesnych. — Wielkiej tragiczności jest uśmiech, który w średnich wiekach nakrył się czapką trefnisia —, w osobach: Tribuleta, Nika, Stańczyka. Velasquez zrobił straszliwy i wielki smutkiem ludzkości zbłaźnionej, portret karła, błazna księcia Alby, w Madrycie.

Fatalnym bywa czasem uśmiech, z którym nie wiedzieć co zrobić — wygląda i mówi przez niego sumienie, konfuzya i głupstwo. — Cypryan Norwid oddał go z straszną prawdą w swoim rysunku lokaja spanoszonego, który nie chce poznać starej matki, i przypadłą do siebie odpycha ręką pełną pierścieni. — Takiż uśmiech mają ludzie, którzy kpią z wszystkiego i z siebie samych — taki miewają wysokie figury po nagłem otrzymaniu dymissyi, a i niższym się taki przytrafia — jak owemu senatorowi w Dziadach, który wypadł „z łaski“ — jest on obrazem wszystkich Polaków, co płaszcząc się wrogom, trują się potem własnemi ekscellencyami, a kluczem szambelańskim

otwierają, jak wytrychem, dzieciom swoim wrota do świątyni hańby! — — Namiętność szczególnie się przebija w uśmiechu Miraboa zapienionym — kiedy umierając jeszcze mówił swemu służącemu: „Soutiens cette tête c'est la plus forte en France“ — — ale o ileż wznioślejszym jest uśmiech zemsty szlachetnej, taki, z jakim Ludwik XII. król francuzki mawiał: „Le roi de France ne venge pas les injures du duc d'Orléans!“ — o ile straszniejszym jest uśmiech mściwości, jaki Berlioz w swoich wieczorach orkestry dał Benvenutovi, Celliniemu i Violi [1]) — i nic prawdziwszego, nikomu łatwiej czuć chęć zemsty, jak artyście — nikomu trudniej ją pohamować — nikt nie jest bezbronniejszym — ale też dla tego Opatrzność zemstę jego tak straszną uczyniła — biada temu, kogo trafi raz zemsta bezbronnego człowieka!

Mimo całego wstrętu naszego do sztuki francuzkiej, niepodobna nam nie podnieść uśmiechu pani Plessy i pana Got — w sztukach nowoczesnych — mianowicie Augièra — naturalność tej artystki jest taka, że po pierwszych dziesięciu minutach zapomina się, że się jest na scenie, a uśmiech jej z siłą wirtuoza umie sytuacyom nadawać najrozmaitsze i potężne znaczenia. Jeźli (co jest pewnikiem), literatura i dramat są odzwierciedleniem społeczeństwa i jego jakości moralnej — to dreszcz

[1]) Soirrés d'orchestre.

nas przechodzi przed tą literaturą i społeczeństwem — nawet w najmoralniejszych, z urzędu i rzemiosła moralnych jej sztukach, które przypominają starego salonowca pobożnisia, z rodzajem obojczyka na szyi a przypinanemi łydkami na nogach.... Sztuki te i społeczeństwo wraz się uzupełniają — i po ojcowsku uśmiechający się nad obojgiem Napoleon III., stojący korrupcyą zmateryalizowanego, walecznego narodu, który przeżył w jednym wieku dziesięć stóleci w przewrotach społecznych, wulkanicznych podrzutach i chwale.

Ale wróćmy jeszcze do uśmiechu sielskiego — jakże on świeży, rumiany, jak brat maliny i druch dzierlatki — czy to na ustach dziewuchy krakowskiej — czy Pokucianina chłopaka — czy Hucuła barczystego — czy starego bacy z nad pięciu stawów — czy na ustach Litwinki — czy ukraińskiej rusałki — czy smutnej wieśniaczki z podgórza naszych błękitnych karpat. — Uśmiech wiejskiej niewiasty polskiej pełen powagi i rzewności miłościwej, oddał nasz prawdziwie rodzimy artysta pan Andrzej Grabowski, Krakowianin — jest w nim coś prawie świątobliwego — ewanielicznej prostoty ludowej, jak gdyby zamyślona nad kolebką dziecięcia śpiewała: „Kto się w opiekę“ — i chciała od niego odwrócić wszystkie burze żywota, a razem jest w niej to, co myślemy idealizując sobie lud polski w przyszłości, taki jakim winniśmy go zrobić przed Bogiem,

narodem i sumieniem — w którym takie sielskie niewiasty błogosławiłyby nanowo do boju synów swoich, Racławickich potomków. — Uśmiech skeptyka ma swoją wybitną cechę, w której bywa zwykle coś zwierzęcego — a coś strasznego ma uśmiech zdziecinnienia, jaki czasem na ustach otwartych, trzęsących i bezzębnych spotykamy — — — — — najfatalniejszym jest uśmiech zobojętnienia na wszystko, z zwątpienia pochodzący — taki, jakim śmieje się Czenczy Beatrice, w dramacie Szelleya, czy na cudnym obrazie Guida, — o ileż inaczej w tej chwili ostatniej pojął ją de la Roche! o ileż inaczej pojął wielki Szyller swoją Maryą Sztuart — którą ożywiła na nowo pani Ristori, co do mimiki największa artystka świata — jej wyraz twarzy, kiedy się dowiaduje z radością dziecinną prawie, że będzie miała szczęście spowiadania się przed śmiercią, — kiedy wstaje od spowiedzi, kiedy grupuje wkoło siebie służebnice i poleca je Bogu, a idąc na rusztowanie błogosławi wrogów i ostatni uśmiech pożegnania anielsko rzuca ziemi, na której tyle cierpiała — są jedynemi w tym rodzaju sztuki — ani potężny Aldrydge, ani demoniczny Dawizon nie dopięli tej potęgi, tej prawdy życia, i nie dziw nam, że się przy niej zaćmiła gwiazda Raszeli. — Uśmiech na ustach człowieka słabego, który umie ładnie mówić, a topnieje i przepada, gdy przyjdzie działać, pojawia się często w życiu i

łatwym jest do odgadnienia — uśmiech wiecznego wahania się ma na ustach nieśmiertelny Hamlet — a kiedy go gra Devrient czy Wagner, wedle nas, pierwszy mistrz w tej roli, uśmiech ten nie schodzi mu z ust, nawet w chwili, kiedy nad modlącym się ojczymem zbrodniarzem staje z mieczem i powiada sobie że go teraz nie zabije, bo dusza modląca się mogłaby pójść do nieba, że go woli zabić w chwili jakiej grzesznej, by poszedł na samo dno piekieł, i z tem odchodzi — znać nawet w tym obrazie pozornej zemsty wahanie, gdzie Hamlet łudzi sam siebie, bo go nie stać na energię zgładzenia tyrana — i dopiero w ostatniej chwili, ten człowiek, (który jest obrazem wiekuistym, jak osłabia charakter najpotężniejszy z natury despotyczne wychowanie), bije się sardenapalicznie i jak lew umiera, przekazując swój testament przyszłym pokoleniom o jaśniejszej doli.... Wyraz twarzy kobiety wiejskiej, oddaje u nas tyle wszechstronna, niedość u nas ceniona p. Aszperger, że wspomniemy tylko o roli matki Balladyny, Joanny, kobiety z gminu, a nadewszystko wieśniaczki w liście żelaznym p. Małeckiego — — że już nie powiemy nic o jej rolach takiej potęgi, jak Deborah lub Waryatka — gdyby p. Aszperger była poszła drogą Dawizona, byłaby dziś szczęśliwą rywalką pani Bulioskiej i Janauszek — ale zasługą jej będzie zawsze, że jako Polka pozostała wierną scenie ojczystej.

Oryginalnym jest uśmiech poprzedzający zwykle eksplikacye, jak błyskawica przed burzą, czy to w scenach małżeńskich, rodzinnych, miłosnych lub przyjacielskich, i uśmiech jasny, który je czasem kończy jak tęcza, lub gorzki, który zasępia życie. — Wart dla swej znakomitości wspomnienia i uśmiech ludzi, którzy wprzód patrzą na bóty niż na człowieka, i tych, którzy zanim spytają czy cnotliwy, rozumny, jakie są rezultata jego życia, pytają czy bogaty lub kto go rodzi — i uśmiech księgarza, który w tureckim szlafroku, bierze w rękę, pełną pierścieni, pracę młodego autora, o niecałych butach i surducie błagającym dymissyi, która nie może być przyjętą — niemniej interesującym jest wyraz człeka zabobonnego, z którego śmieje się djabeł, straszący w kontuszu na pińskich błotach i straszliwa biała dama Rydzyńska. — — — Dobre są także różnolice uśmiechy zjazdów kontraktowych i jarmarcznych Wołyńskich, Podolskich i Galicyjskich — a jednak mimo wszystkich narości fatalnych takich zjazdów — one bywały jedynym środkiem porozumienia się wspólnego — ci sami zjeżdżają się dziś w mieścinach powiatowych, co niegdyś spadali tam na sejmiki, byle czasu tego używali nie na burdy, grę, plotki, — ale na porozumienie potrzeb wspólnych — społecznych i narodowych — bo zaiste, zda rachunek ciężki kiedyś takie li tylko buła-

gulskie modlenie się złotej szkapie, tam gdzie jest sposobność działania.

Kto widział uśmiech bardziej boski jak ten, z którym konali męczennicy Chrześciaństwa, i męczennicy nasi, na uświęconym bruku Warszawy i Wilna r. 1863!?... tu wypadłoby skończyć — a jednak uśmiech to rzecz nieskończona, równie jak łza... urocza jak paralella między pączkiem róży a ustami dziewczęcia... oto uśmiech skromnej dziewczyny w chwili oświadczyn, gdy się jak w listeczki malina, kryje między krewnych, wedle słów cudnych Wasilewskiego — i w chwili kiedy powiada: „kocham!...“ i znowu uśmiech babuni między grupą wnucząt: znałem pewną babunię, która z radością przeniesła się z jednej ulicy na drugą, bo mówiła, że będzie bliżej wnucząt, a wnuczęta mieszkały o mil 20 na wsi, ulica więc była tylko zbliżeniem w tym kierunku!...

Uśmiechu! dziecię radości! ty jesteś zwiastunem błękitnych chwil życia!... Wypiastowany w świecie Hellady boskim, i wiejący nad błoniami Auzonii!...

Kiedy powraca wiosna, skrzydlata i śpiewna, siejąca gerlandy tęcz i motyli, i z piosnką skowrończą skacząc, a po głazach zdrojów rozmarzłych, garście pereł miota, jak łzy burzy po kwiatach, ty kwitniesz na licu jej, jak kwiatów król — i jawisz się najprzód na licu dziecka, kiedy uśmiechnie się do matki raz pierwszy, i

na licu matki, gdy pierwszy raz usłyszy: mamo I dalej w życie! Patrzcie! młode pachole idzie w świat z natchnieniem w duszy — nie zna życia — wiosna duszy i wiosna natury otaczają go... w myśli jego błękitno jak w niebie — on uśmiecha się naturze i jemu natura, patrzy w nią miłościwie, jakby szukał jej ostatniego słowa. I spotkał okiem kształt dziewicy z uśmiechem Ewy przed grzechem, uśmiechnął się — spojrzał — już ścisnął dłoń jej — las zaszumiał głośno i zabrzmiał pieśniami, wiatr rozwiewał mu jasne włosy, a warkocze jej niósł mu do ust i zarzucał na szyję — on wiódł ją za rękę i szeptał jej strómień słów nieuczonych, ona z główką w pół pochyloną, jak maczek na zagonie, którym wiatr porusza, słów tych słucha jak rajskiej muzyki z uśmiechem zdziwienia... dłoni odścisnąć nie śmie, choć nie wie czemu... a jakaś rozkosz rozsadza im piersi — ona pochyliła główkę jak brzoza, pobladła, i znów uśmiech odsłonił perłowe ząbki, oddech jej pierś jak falę unosi — on zerwał fiołek — ona wzięła go z uśmiechem — i idą dalej, już nic nie mówią — uśmiech i oczy jej rozmową — przepadają w głębi szumiącego lasu — i nikną — już znikli... jak wspomnienie!... Perłami łez geniusz sieje swe pola, a uśmiech jego spokojny i uroczysty.

I znów spojrzałem w inną stronę, i przeraził mnie przymarzły uśmiech na twarzy Almanzora!... lecz dalej jaśniał uśmiech geniu-

szu świadomy siebie i siły swojej, pełen harmonii Helleńskiej, i jak boski Apollo pięknością swoją tylko rozkazujący, i ztamtąd poleciał na lica Parysa i Heleny i na Aspazyi korale, gdy siedząc na kolanach Alcybiada, dysputowała z Sokratem i . . . nie dowierzała Platonowi . . . i przeleciał na twarz Sokrata spokojną, kiedy toast trucizny spełniał do przyszłych pokoleń, że od tego uśmiechu na zawsze przestał się śmiać Aristofanes . . . i z dali chór Faunów odderzał mu śmiechem homerycznym, a śmiech ten przeleciał wieki, odkwitł na pulchnym licu Falstafa i Tartufa, przemignął błyskawicą po twarzy ostrzącego nóż Szyloka i skonał skrzywieniem dzikiem na twarzy Mefistofelesa. —

Charakterystyczne są uśmiechy artystów — kto zapomni uśmiech Rafaela, kto nie pomyśli nad uśmiechem Salwatora Rosy?

Oto trzy głowy pełne wyrazu i znaczenia: Uśmiech Liszta wyraża majestat natchnienia i jego żelazną konsekwencyę w każdej walce podejmowanej zwykle dla drugich, tak, że nazwalibyśmy go Gallileem muzyki — boć treścią jego całej istoty jest: e pur si muove. — Uśmiech Wagnera znamionujący przebolenie i dumną intelligencyę świadomą siebie wśród walki, która go uczyniła Kopernikiem muzyki. — Wreszcie uśmiech Berlioza, w którym znać uczucie i smętność narzeczoną innych światów. — Nazwalibyśmy go Kolumbem

muzyki, bo choć nie odkrył Ameryki, to instrumentacya jego, będąca tem, czem rysunek Kaulbacha, skróciła drogę do Indyi. . . . I przyjdzie czas, gdzie mu z lichwą oddadzą sprawiedliwość. — Ale patrzcie na twarz Beethowena, który jest dla muzyki, czem św. Paweł dla dziejów religii. — Głowa pełna majestatu boleści, twórczych mąk i chaotycznej zadumy. A jednak i on dał uśmiechowi kilka danin nieśmiertelnych, że wspomnę tylko dziewiątą symfonię, której radość ducha ogarniająca, zdaje się być proroctwem dni lepszych, dojrzałej ludzkości. — Symfonię tę jak piramidę na grób sobie wystawił on mistrz i orłem przy głowie swojej posadził pieśń Szyllerową — a lwem u nóg swych postawił Florestana. — I jeszcze uśmiech Szopena, jak go pojął Szeffer — według apokaliptyki jego tonów, boć on jest w muzyce tem, czem św. Jan w dziejach religii. . . .

Widziałem raz słońce, kiedy po burzy wyszło z błękitów nad Muraniem *) — i pięknością swą zaśmiało się do burzy nad mnóstwem pereł rozsypanych w dolinach; takiego wesela w naturze, i tylu piękności świateł więcej nie widziałem! I spotkałem raz uśmiech pięknej, zapłakanej kobiety — uśmiech smutny jak pieśń Ossiana, najwyższy — bo pełen przebaczenia w cierpieniu! . . . piękna jak narzeczona

*) Murań, góra w Tatrach.

anioła, chora i wiedząca, że żyć nie będzie, leżąc obrywała listki róży z uśmiechem ciekawości... czy prędko umrze!... i nie widziałem — i nie chciałem już widzieć żadnego uśmiechu... aż raz ujrzałem u gotyckiej furty czarnego kościoła dziecię, podające z uśmiechem jałmużnę zbolałemu starcowi.... On na widok tego kwiatka zapomniał wszystkich boleści i zawodów życia i uśmiechnął się — a ten akord uśmiechów ich, jak przeszłości z przyszłością, chwycił do arfy swej, stojący nad niemi stróż anioł i powiał z nim w błękity.... I oto pierwszy uśmiech przyjaźni, sympatya zagnieździła się w nim na całe niebo przyszłych rozkoszy... na niebo nie z tej ziemi — przeto o nim śpiewać będziemy — ale — nie na tej ziemi!... Oto uśmiech bohatera przebaczającego!...

I uśmiech poety na widok doścignionego ideału, ściganego całe życie, który przestaje go nęcić, skoro go dosięgnął ramieniem piorunowem... i znów powraca smętne słowo: „perfectum!“ i w smętność się uśmiech ten rozpłynął, aż spoczął w śmierci nieśmiertelności pełnej, po mękach Tantala!... Ten uśmiech unieśmiertelnił wielki Ritschl w swoim posągu Psychy i Zefira [1]), gdzie (pod dłutem mistrza boskiej Piety [2]), marmur stał się powiewem....

Ale zdaleka doleciał mnie dźwięk wesoły,

[1]) Paryż. [2]) Drezno, odlew.

pusty, szalony!.... pełen woni kwiatów i uśmiechów dziewic... il Bacchio!... w godowej sali, drżącej światłami, wonią i muzyką, młoda para leci wirem szalonym — lecą — snują się — jednako myślą i czują — a taniec zdaje ich się odrywać od ziemi.... i z grzmotem muzyki a szałem tańcu w wielką gierlandę splątane pary, kołują z uśmiechem wesela — splatają się i rozplatają jak gracye i muzy — lecą! lecą! jak liście burzą niesione — a za kilka godzin, gdzie pójdą te uśmiechy? — zostaną — tylko inne — nieco! I ujrzałem pary szkieletów kołujących szalenie, wiejących galopem grzmotu w ciemne przestrzenie, z uśmiechem zwątpienia, którego zląkłby się cichy uśmiech cieniów Elizejskich, nad którym schyla się czasem uśmiech Seleny, drżącej nad falą Lety!... I jeden niemy siedział w gwarze tłumu i śmierć galantka przywiała — przypięła mu kokardę — i polecieli gdzieś... za błędnym ognikiem....

I znalazłem w prochu rozkruszoną maskę Satyry — miała resztki uśmiechu Horacego, ale w nieładzie swoim zdała się niedogryzkiem Jorika! I poczułem, że smutno temu co płacze z boleści, ale smutniej temu, co z boleści się śmieje.

Uśmiech to straszny, który niesie chwila
Jak fala różę w otchłanie dymiące —
Uśmiechy innych rozweselające,
Które się śmieją milcząco i dumnie

Lecz są jak rana ukryta rozumnie,
Jak trupia głowa na skrzydłach motyla,
Jak złoto na trumnie,
Lecz nad łzy wszystkie i gorzkie rozpacze,
Ten niemy uśmiech najokropniej — płacze! ...

I odrzekł mi zdaleka chór obłąkanych, i śmiech chychoczący głosem satyr i wieńczony kwiatami komedyi, i uśmiech płaczący na licach poetów, i urągający życiu spokojnym wyrazem Melpomeny....

I znowu w dali ujrzałem pary wiejące chmurami duchów, przy muzyce piorunów, ale już z uśmiechem jasnym — duchy ludzkości w świat wiecznego wesela... i zawołałem: „Uśmiechu! ty jesteś symbolem dobra na ziemi!“

III.

Monografia pocałunku.

Poświęcone także córce Ewy.....

Und weckt mit Küssen den Freund!
Schiller.

Nad pocałunkiem długo się rozwodzić, byłoby absurdum... i niepojęciem jego istoty — kto go ciekawy, niech pocałuje a dowie się. — Nie bez racyi podobno woła pewien śpiewak:

O! czyżeś nigdy nie całowała!
Śmierci! ty śmiercią byś być przestała,
Życiem byś tchnęła na twoje dzieła!...

i trudno co innego o pocałunku powiedzieć; filozofowi, coby o jego znaczeniu filozoficznem chciał rozprawiać, zamknąć usta — pocałunkiem!

Kiedy wmyślemy się w stworzenie światów, przychodzi nam na myśl ostatni pocałunek anioła i szatana — jako pierwszy dyssonans

praw harmonii wiekuistej, pierwsze rozdarcie bolesne na wieki! Następnie pierwszy, rozkoszy pełen pocałunek Adama i Ewy w raju, a za niemi pocałunki wszystkich kochanków całego świata, co świat chwilowo w raj zamieniają. — — Pocałunek Erosa i Psychy nieśmiertelny, i Brutusa dany „swej matce!“ Ifigenii i Oresta, i pocałunek Morfeusza, gdy obejmując usypia istotę, próżno chcącą go widzieć, bo ledwo oczy otworzy. — niknie. I wspomniałem pocałunek śmierci, który kończy komedyę życia, i pocałunek Judasza we wszystkich odcieniach jego! poczęty na licu Zbawiciela — na licu Polski skończony! — A dalej pocałunek Medei — i pocałunek Almanzora serdeczny! — Ohydnym jest, gdy się zmysłowość przymiesza do pocałunku. —

Bogowie zazdrościli pierwszemu pocałunkowi kochanków, a choćby ostatniemu Romea i Julii, i pocałunkom przyjaźni bratnim, których echo w niebiesiech się kończy. — Muzyka jest nieustającą powodzią pocałunków — jak harmonia sfer ładu — bytu miłości! — Prostota jest siłą pocałunku, jak u owej niewiasty, co dotknęła z wiarą szaty Zbawiciela — jak pocałunek u stóp krzyża ustami cichej zakonnicy złożony. — Fala całuje łódź, kołyszącą pocałunki dwojga ludzi szczęśliwych, w noc Neapolitańską.... Pocałunki grających dzwonów, wichrów burzy, fal morza, są jedną harmonią życia — z pocałunków chmur rodzi się

piorun, z pocałowania słońca i kaskady — tęcza!

O! nic większego nad świętość uczucia macierzyńskiego — patrzcie, czy wam co rozdarło bardziej serce, jak obraz matki, co ostatni raz całuje martwą dziecinę, patrząc w nią jeszcze — i jeszcze — i jeszcze. — — — I miłość siostry z braterską jest jednem z najświętszych uczuć — nie znam tragiczniejszej chwili, jak kiedy Irydion poczyna zwolna odpychać od piersi swojej boską Elsinoe!... żaden poeta świata starożytnego nie dał nam obrazu tak tragicznej potęgi! — I znowu pocałunek matki, której syn po latach wraca, i pocałunek jaszczurczy macochy!... i głośny, zdrowy, serdeczny pocałunek wiejskiego parobka, zaaplikowany swej narzeczonej, i tragiczny pocałunek Tassa, ścianom więzienia swego dany dla Leonory!.... wspomnijcie na pożegnalny, niemy pocałunek Jakóba i Racheli [1]), w obrazie Giorgiona, i w drugim jego obrazie dwie tylko głowy — książęcia powracającego z krucyaty i jego żony [2]) — — i Rafaela dziecinny pocałunek dzieciątka Jezus z św. Janem, na który z uśmiechem patrzy Bogarodzica [3]).... I w swery przyszłości uleciałaś myśli moja — a głosy arf zlane z pieśniami milionów, rozlegały się w przestrzeniach, zlane rozkoszą po-

[1]) Drezno. [2]) Kraków. [3]) Tulczyn (?).

całunków — był to obraz ludzkości, idącej ku Stwórcy po wiekach, który na jej czole składał pocałunek ideału!... i zawołałem w radości wielkiej: „O pocałunku! tyś symbolem piękności na ziemi!“

IV.

Oj to, to, to, to, to, to,
Co mnie niespokojną czyni!...

Piosenka.

Potok jej myśli jest tak czysty, że każda jego fala jest cnotą. — Żadnej istocie ludzkiej dobroć nie była tak przyrodzoną i łatwą.... Występek zdaje się z jej naturą być w takiej sporności, że grzech wydał mi się w niej niepodobieństwem....

Bulwer. Pelham.

No, moja Klotyldo! czy pokuta godna odpuszczenia?! — spytał Henryk z uśmiechem — i które z dwóch, czy próbę dyalogu, czy trzy monografie wybierzesz sobie?...

Oboje! — zawołała już w jego objęciu... i szeptała z wzruszeniem, całując jego usta i oczy:

Widzisz — udawałam gniew tylko, po zdarciu maski zaraz się ukoiłam, ale nieraz myślałam sobie: że jestem powodem, że zaniedbujesz twoje prace, wydało mi się!... prze-

bacz... że mnie włóczysz jak kulę do nogi przykutą, żebyś był swobodniejszy, tak dawno nie tknąłeś żadnego rękopismu... A tak chciałam znowu coś wymódz, chwyciwszy ten pozór... Teraz ty mnie ukarz... On zamknął jej usta powodzią pocałunków — ale, rzekła po chwili — i ja przez ten czas nie próżnowałam — oto dokończyłam portreciku Ernestynki i Pawła, w kształtach aniołków dwóch z pod stóp Sykstyny.... Tu uchyliła lekką zasłonę: w błękitnej niszy, na którą pół światła rzucała wisząca biała lampa alabastrowa, stała kołyska z dwojgiem śpiących w niej bliźniąt corregiowskiego wdzięku, a nad nią zawisł obrazek dwóch aniołków, z pod stóp Sykstyny. — Cicho!... szepnął Henryk, oparty na ramieniu Klotyldy.... Tym snem niech śnią jak najdłużej. — I stali tak długą, niemą chwilę dłoń w dłoni. Morituri te salutant patria! pomyślał ojciec, choć matce tego nie objawił. — — — — To za próbę dyalogu, rzekła wreszcie, opuszczając zasłonę — a za monografie czem tobie odpłacę? Henryku mój!...

Za monografię łzy, bym łzy w niebieskiem oku twojem nigdy nie widział, chyba radości i współczucia — za monografię uśmiechu, wieczny uśmiech taki!... a za monografię pocałunku, którą z wielką niecierpliwością bazgrałem, taki — pocałunek nieskończony....

— Pojmujesz zresztą moja jedyna, że obrazek ten jest tylko intermezzo myśli mojej, a że u mnie tak często muzyka brata się z poezyą, i prawie mi są nierozdzielne, więc pomyśl sobie tę całość, jako sonatę w słowie, część pierwsza, monografia łzy, to niby largo affettuoso, smutne, jak piosenka grabarza, kopiącego grób młodej dziewczyny, jak grabarza, co ideę swoją nieraz zakopuje miasto tej dziewicy i siebie z nią — druga część monografia uśmiechu, to allegro simplice! prosta — jak śpiew rolnika miotającego ziarno, a wróżąca żniwo plenne — trzecia, pocałunku, to presto appasionato i nieco buffo, wesoła jak pieśń drużby, co wraca z wesela, jak gra fal strómyka, co o tamy jeszcze nie trącił, szum harmonii, dziecka dyssonansu, i matki jego razem — tak pojmowałem te trzy obrazy i dla tego ci je określam. — —

Po chwili milczenia dodał smutniej, — wkrótce wezmę się do dramatu, dla tego próba dyalogu posłużyła mi za małe studyum... ależ dramat... tak mi dziwno i smętno, gdy chwilowo dawszy rękę Talii, myślę tknąć szaty Melpomeny! Moja Klotyldo! czy myślisz — a raczej czy czujesz, że przyszłość moja ma przyszłość?...

— Ona lekko trąciła okno, przy którym stali, i milcząc wskazała mu niebo gwieździste.... A jasnowłose czoło oparła na jego piersi młodzieńczej....

KONIEC TALII.

(DODATEK.)

KROPLE CZARY. CZĘŚĆ III.

SILVA RERUM.

Wiecież czemu ta brama stoi tu otworem?
Cnoty w nią bez ustanku dawnym idą torem,
Królewski się zaś orzeł na to przedstawuje,
Bo on tutaj „z wielkiego — w święte ulatuje!“

Starożytny napis na herbie Krakowa *).

---

*) Patrz sprawozdanie Łepkowskiego 1866.

Nie płacze naród na trupie syna,
Choć z niego proch i glina —
Gdy przyjdzie pora,
Jutro jak wczora
Proch na proch weźmiem, glinę na ołów
Pożary wstaną z popiołów....

K. Ujejski.

Niewierzy w Polskę — kto w łokieć uwierzył!...

Pieśni Ludomira.

I.

NA CZEŚĆ
PSEUDO-DEPUTACYI POLSKIEJ
WRACAJĄCEJ Z PETERSBURGA.
1865.

Czy was powitać błotem i kamieniem?
O! nie — za czyste błoto polskiej ziemi,
By się nad czoły rozbić miedzianemi,
Ono skrwawione męczeństwa nasieniem!...
Nie ludu tego witać was cierpieniem
Ale pogardą tą, co same wrogi
W oczy splunęły wam, gdy na ich progi
Kładliście podłe, zbydlęcone czoła! —
Was „tylko“ podłość wasza tam wysłała
Nikt więcej!... w tem też wasza cześć i chwała!
Hańba wam! wpośród dobrej woli koła,
Hańba wśród najpodlejszych społeczeństwa
Zdrajcy! niegodni narodu — przekleństwa!..

REAKCYA.

Cum vix justus sit securus...

Nie takaś straszna jako cię malują,
Tyś jest szakalem, co pobojowisha
Z trupów obżera i wraca w bagniska —
Ptakiem, co kazi krzyże, gdzie nocują
Na długą noc ci co padli z nadzieją!...
Tyś rekrutacyą ludzi, co karleją,
I coraz krótszą zarazą morową — —
Ale już czujesz piętno nad twą głową,
Przeto się miotasz jak żmija pocięta,
Od wszystkich głosów wzgardzona, przeklęta,
I od podłości samej pogardzona,
W piekle wyśmiana, zewsząd opuszczona.
Hulaj! na stypie narodu, i baluj!...
Wytrwały szyldwach pikiet strzeżesz wrota,
Ty głupszą jesteś niż sama głupota.
O! illuminuj twą hańbę bez granic,
Tańcz Herodiady tańcem, gdy ci za nic
Żałoba ludu!... i namiętnie faluj
Bezwstydnem łonem do pogardy wroga,
Kiedyś zwątpiła w naród, w ludzkość — w Boga!

Wróg tobie za to na misie miedzianej,
Jak twoje czoło, — w statu quo pisanej,
Da głowę Polski pięknej Herodiadzie
Skrwawioną — bladą, z łzą matek tysiąca —
Hej! dobrobytem otyła — śmiejąca,
Tańcuj! — „do jutra“ trup się w progu kładzie!...

PAMIĘCI TRAUGUTA.

Tyś jak „Amen“ w pacierzu, był Amen powstania!
Między ojców ojczyzny wliczon poświęceniem!
Amen!... niechaj się stanie światłość zmartwychwstania,
Takich jak ty, w lud, z prochów twych roztysiącznieniem!
I chórem aniołowie, w twej skonu godzinie,
Amen!... musieli wołać po nad szubienicą!...
Bez końca zdrój poświęceń, co z serc polskich płynie,
Poczęty w niebie gromem, na ziemi gromnicą
Kończy się głosem Amen!... arf tony łzawemi,
Amen! zawołał naród piersiami krwawemi,
I car Amen! zaryczał — myśląc że już koniec. —
Ale Amen — poczyna, choć kończy modlitwę
Modlitwę co jest czynem! co Ruś, Polskę, Litwę,
Wymodli wielką — wolną! a w dzień, gdy łańcuchy

Spadną, i światła gromki w świat poleci goniec,
Duch twój, o męczenniku! ze świętemi duchy
Zawoła: Amen! po nad bohaterów ludem,
Co ludzkość zwierzęconą odczłowiecza cudem

PAMIĘCI JURGENSA.

Choć w ciemni cytadeli, śmierć twa tajemnicą,
Którą zna tylko szatan, co cię dręczył w ciszy,
Ale iskry coś skrzesał śród młodzieży, świecą,
Co posiałeś — to schodzi — duch twój się dosłyszy!...
Choć jak o Łukasińskim nie wiedzą potomni
Jak umarł — Bóg wie tylko — (a kto przeciw Bogu?)
Młodzież polska, czem dla niej byłeś, nie zapomni,
Mieczem ryć będzie imię twe u świątyń progu!...

* * *

O! bo trudniejsza odwaga cywilna
Niźli wojskowa! z nią na rusztowanie
Idzie się prędzej, niż na rozstrzelanie
Żołnierz bohater! bo męczennik ciszy
Każdą swą chwilą walczy — i wspomaga
Walczących! i on jest jak wielka waga,
W której odwaga waży się z zasługą,
Żelazną dłonią trzymana tak długo,

Aż sprawiedliwość przeważy w otchłanie,
A szala fałszu, co siała ciemności,
Poleci w górę, jak słońca świtanie,
Aby świadczyła o wschodzie światłości,
W czerepów jasnych rozbita tysiące,
Jak gdyby w górze bombą pękło słońce,
A jednak pierzchły bez słońca ciemności!...

PAMIĘCI SIERAKOWSKIEGO.

On jak Grek starożytny, z ran bestyi skrwawionych
Wyciągał drzazgi, kolce, osładzał ich dolę,
Otulał ich nagości, ochraniał kąkole,
Ich ciemności oświecał, ogrzewał zmrożonych —
Obraniał katowanych katów od katuszy —
Ale kiedy wybiła godzina świąteczna,
Której grom wśród sumienia polskiego nie zgłuszy,
(A gdyby głuszył — hańba! tej głuchocie wieczna!)
On się zerwał — i gotów czynu apostołem
Szedł — walczył — krwią naznaczał ołtarze ofiary
Androklesa — lew poznał — i przed bydląt kołem
Lizał mu stopy — wierny do śmierci lew stary —
Ale jego — ta hydra, której los poprawiał,
Którą ogrzał — rozdarła, na relikwie ludu,
Na hańbę swą!...
On słońce z szubienic pozdrawiał
I modlił się za katów — pełen łaski cudu!...

NA PORWANIE
KSIĘDZA RZEWUSKIEGO Z WARSZAWY.

Wzorze kapłanów w rocznikach niedoli,
O cichej cnocie, co się nie wystawia,
Aż przyjdzie czas, gdzie męczeństw aureoli
Blask nadeń spłynie, od którego zbawia
Się wiara ludu — i dalsze wytrwanie
Choć wkoło zemsta, śmiech i urąganie!
O! módl się za tym ludem mordowanym,
W Litwie, Koronie, kleszczami tyranów
A my się modlim! Boże! skrępowanym
Daj takich tylko najwięcej kapłanów.

A wróci wiara w potęgę ich siły,
Od której martwi wychodzą z mogiły,
Od której w ciało powracają duchy,
A z ciał spadają niewoli łańcuchy!...

ODA NA CZEŚĆ

RZĄDU NARODOWEGO.

O Rządzie Narodowy!
Pamięci twej cześć!
Mistrzu szkoły surowej,
Niech wieje twoja wieść
Ziarnem, w pamięć stóleci, nad kurhany pól!
Część ci, tyś cierpień naszych po niedoli król!
Powstałeś pierwszy, — runąłeś ostatni, —
Za wielu śpiących czuwałeś —
Na szubienicach konałeś —
Wielki — maluczkim w apostolstwie bratni!...
Dziś z tych niejeden, co tobie służyli,
Coć się czołgali, lub drżeli przed tobą,
Kamień ci rzuca o zaćmienia chwili,
Gdy ty narodu zczerniałeś żałobą!...
Ale „głos ludu,“ jak trąba anioła
W potomne wieki, na pamięć dziejową
Imię twe wygrzmi!... jako apostoła
Czyste — stojące po nad hydry głową,
Co choć oplwane przez tych, co ciemiężą,
Piekła go — siłą swą nie przezwyciężą —
O! na ten krwawy, śnieżny cień!... jasny, krzyżowy!...
Tyś: tylko na urlopie, Rządzie Narodowy!

Drezno, 1866.

BARANKU BOŻY!

(*Poświęcone Albertowi.*)

O czysty, jasny, z pokrwawionem runem,
Jako powstałeś z pod katowskich noży,
Tak Polska moja wstanie z twym piorunem
Baranku Boży!...
We łzach i prochu, na braci kurhanach,
Z arfą skrwawioną, z łzami na kolanach
O patrz na Polskę wstającą z pod noży,
Baranku Boży!...
Tobie ojczyznę mą z łzami wspominam,
Nią pieśń mą kończę — i nią pieśń poczynam,
O czysty, jasny, wstający z pod noży
Baranku Boży!...
Do ciebie Barscy obracali oczy,
Mrąc z protestacyą, której śmierć nie trwoży,
Tylą niewinnych wróg twe runo broczy
Baranku Boży!...
Ale dzień idzie, wróżon ludu śpiewką,
O dzień, gdy wstaniesz w Polsce z pod twych noży,
I wrócisz na świat z polską chorągiewką
Baranku Boży!...

Niehaj drży ziemia! — pękają marmury,
To sprawiedliwość powstaje z pod noży,
Witaj wśród gromów trzasku, krwi purpury,
Baranku Boży!...
Patrz, to szkielety powstają z pod ziemi!...
Wygnańców kości, uszłe wrogów noży,
Spieszą odpocząć między rodzinnemi,
Baranku Boży!...
Jak ty na krzyżu, ot! wisi rozpięta,
Zabita fałszem, od szatańskich noży —
Jak ty, powstanie Polska nasza święta
Baranku Boży!...
Lecz śpiesz się ku nam z manną nieba świętą,
Bo kamienieje, kto się o kraj trwoży,
Kto widział matkę na krzyżu rozpiętą,
Baranku Boży!...

Paryż, 1866.

PSALM NAD MORZEM.

(Pamięci autora Namaszczonego.)

I.

Olbrzymich wałów przestworze spienione,
O matko zórz!
Ciche, gwiazdami nocy ozłocone,
Kołysko burz!
Wielkie ty jesteś, bezdenne — olbrzymie,
Patrząc na ciebie, myśl ma uorlona
Zrywa się — wzlata — i śpiewa natchniona!
Ileż w wszechświatach większe Tego imię,
Który cię stworzył!... Jehowah! Jehowah!...
Nad dziejów morzem głowa czuwa twoja,
Tobie ufa mój naród!

II.

Olbrzymich wałów przestworze spienione,
Ojczyzna zórz,
Wielkie jest morze gwiazdami uśpione,
Kołyska burz!
Bezdenne czarnych otchłaniami ciemnic,
Lecz duch mój głębszy — pełniejszy tajemnic,

Większy człowieka duch! by się nie trwożył —
A jakżeż wielki ten! co ducha stworzył!...
Tonów łańcuchem związał gwiazdy słońca,
O Stwórco! słuchaj nad morza bez końca,
Tobie ufa mój naród!

III.

Olbrzymich wałów przestworze spienione,
Ojczyzna zórz,
Wielkie jest morze wichrami zbudzone,
W rozgrzmotach burz!...
Gdy wałów jego grzywy zapienione
Wierzgają w niebo łóną spiekielnione —
Wpośród gromami rozdzieranych ciemnic...
Lecz duch narodu pełniejszy tajemnic,
Gdy wstaje z martwych!... Duchu ludów ducha
Lądy i morza grzmią do twego ucha,
Tobie ufa mój naród!

Guitarri, 1866.

NA CZEŚĆ BOLESŁAWITY *).

Bolesławito, o sławo narodu!
Ach, ileż sławy i bólów płomieni,
W tej drodze jasnej przez piekieł pochodu,
Bije w ojczyzny pierś w dziejów przestrzeni!
A ty przybliżasz do matki jej dzieci,
Padłe wśród chwały i hańby stuleci!
Toć młode serca, jako lutnie smutne,
Wołają: dzięki! mistrzu w dni pokutne!
Wielka tragedya od morza do morza,
Której autorem Bóg — ludzkość słuchaczem,
Stąpa w narodu postępie tułaczym,
Jak słup ognisty, sunie „jutro“ niańczy
A jej warkocze to chmura szarańczy,
A tłem jej: dymów pożarowa zorza,
A na jej czole iskrzy: pomsta Boża!...
Łożem jej krwawe pobojowisk łoża —
Przez piekła idzie naród, męczennica
Snieżna nad jasne śniegi Araratu,
Nieśmiertelnością pała jej źrenica,

---

*) Drukowane w „Dzienniku literackim“ lwowskim.

Jako pochodnia w sumieniu caratu,
A przed nią jasna ducha gołębica
Leci, jak gwiazda jasna nad płomienie.
Padajmy na twarz! rozkosz! zachwycenie!
To matka!... Ci, co zrodzeni bez matki
Krzyknęli na jej widok, smętne dziatki,
I jako liści, ptaków, komet chmurą
Powiały... za nią... O którą-że którą
Drogą ty idziesz?!... wołały żałośnie,
Posągu z gromów i łez! wiosno w wiośnie!
A skroń jej w takiej błysła aureoli,
Która jaśnieje tylko tem co boli,
I co przez piekła idzie, by je zbawić,
By tam nikogo „z sercem“ nie zostawić,
Stąpa!...
Choć łańcuch dźwiga na swem ręku
Morze płomieni depcze — z mieczem łona;
Skrzydła ma orle i idzie bez lęku,
Bo idzie w przyszłość i wskrzesza plemiona!
O! bo dostała na swem stanowisku
Wśród mąk piekielnych na Hioba śmiecisku!
Pod stopą chrzęszczą szkielety potężnych,
Ona przytula smutnych, ciemnych, mężnych;
Idzie przez ognie — depcze po potworach,
Jaśnieją pełne szatanów pieczary,
Ale gdzie stąpi na płomienne jary,
Uchodzą żmije przypadłe do ziemi,
A ona wzywa tych, co upadłymi,
I jako kwiaty budzi rosą ranną,
A mieni smutnych być powołanymi
I skroń ich zorzą otula poranną!

Przy niej najbliżej stąpa młodzian biały,
Smutny, w źrenicy z ogniem, a na czole
Gwiazdkę ma, kuli ślad na aureolę
Dany młodości jego; on tak śmiały,
Jak orzeł chrobry na tarczy Piastowej
Spokojny, cichy — lecz „zawsze gotowy!“
Młodzian ten niesie szaty jej krawędzie,
Co się z słowiańskiej tęczy blasków przędzie,
A której równej nie było, nie będzie!...
To typ młodzieńca Polski, co nie skąpił
Krwi dla tej matki, dla której w grób stąpił
W młodości! — Dla niej żadnemu z hetmanów
Na krok w ofiary chwale nie ustąpił,
A choć maluczki — Dawidem tyranów. —
A! to Starego miasta dziecię smętne,
Pełne miłości, zapałem namiętne —
Od wtórej strony przy nim, dłonią w dłoni,
Dziewica cicha, jak anioł pokoju,
Stąpa przy druchu, co ma cierń u skroni,
Oboje pełni męczeństwa — i znoju!
Z obu, jak z dwu lamp alabastrów grobu,
Jaśnieje miłość ta, co gwiazdą globu!
A jasna, wielka, postać wędrująca
Do siebie ręką przygarnia oboje,
Jako dwie lutnie, na jednakie stroje
Strojąca!
Ach! to czerwona para! miłująca,
Tryumfująca za czerwoność swoję,
Bo jej czerwoność z krwi serca przędziona!
Więc wspólnym płaszczem oblekli swe łona,
Co w fałd purpury aż ku ziemi spływał,

Nad wszystkie togi — nie szumiał — lecz śpiewał,
Jak liść na cichych grobach człowieczeństwa,
Co pokoleniom dzisiejsze męczeństwa
I bohaterstwa dzisiejsze zaszumi,
To łez swych kiedyś naród nie utłumi,
I głębiej czoła pochyli przed carskich
Ofiar tych hufcem, niż my dziś przed bracią
Tych, co nam gwieżdżą legionów i Barskich!
Gdy męczennica szła dalej, śród piekła,
Które zbawiała tym strasznym pochodem,
Gdy krok jej każdy brzmiał dziejów rapsodem,
Ręce na piersi złożone oblekła
W wieniec z kurhanów, wonny krwią i miodem!
I już rozrzucać jęła het!... te kwiaty,
Bo świat ten taki stawał się piekielny,
Że przy nim bladły Danta dzikie światy,
Bo się zśmiertelnił — choć był nieśmiertelny.
A przed jej stopy padła porzucona
Niewiasta grzeszna, blada, co do łona
Kamieniem tłukła, jako Magdalena!
I wczoraj jeszcze zwano ją Syrena,
A dziś już Marya!...
W włosach zakwefiona
Błagała okiem łzawem przebaczenia,
Aż podniesiona — jasna, oczyszczenia
Pełna, za Wandy, tej czerwonej pary,
Siostry anielskiej, dłonią uwiązana
Szła — cicha, niema, jako z żalów zwiana,
I cicho nucić jęła w smętnej cześci
Nutę żałosną, jak „hymny boleści!“
Tu nagle postać wielka — jako wryta

Stanęła, szatę rozdarła z boleścią
I zarzuciła na cielsko z bezcześcią,
Tarzane w prochu ze śmiechem, co zgrzyta
Jak tygrys, i klnie opętanych rykiem,
Szałem wścieklizny zrozpaczone dzikim.
A młodzian cudny, jak Tobiasz dziewiczy,
Dźwigał to cielsko ojca, co na czole
„Szpieg!“ miał wyryte iskrami, i liczy
Dni swe wiekami, w tej piekielnej szkole,
I marzył tylko, aby go przeklęła,
Bo sie niegodzien czuł tego zaszczytu,
I przy nim córka, z źrenicą błękitu
Anielstwa pełną, dłonie wyciągnęła,
Ku wielkiej, jasnej, co na ręce wzięła
To ciało, ciężkie brzemieniem boleści,
I niosła w błękit, w cichej, dobrej wieści.
I zkądsić powstał taki płacz choralny,
Jak w sferach wszystkie lutnie archaniołów,
Co rozpłakane jękną śród żywiołów,
Kiedy w człowieku duch dobry zwycięża,
Gdy ludzkość w niebo ramiona wytęża!...
A dym piekielny był już całopalny,
I człowiek ten się za swoim aniołem
Idąc przez boleść — stawał: apostołem!...
I jeszcze w dali, nowy trupio blady
Wstał mąż, jak gdyby ssał wszech wężów jady;
On się Moskalem zwał, choć czuł jak człowiek,
Przeto Polakiem został, i u powiek
Miał światłość, jako syn matce wydarty
A powrócony, choć piętno żałości,

Błyszczące z twarzy, przeżarło mu kości,
I szedł na żonie anielskiej oparty.
A gdy postacie te wkoło Świetlanej
Stanęły wieńcem — wśród ciszy, wezbranej
Tchnieniami wolnych duchów zorzy rannej,
Wyszedłszy z piekieł w przyszłość gwiazdolitą,
Ona ujrzała ciebie — z tym uśmiechem,
Co płacze wieki nad zbrodnią i grzechem.
I naród cały wraz z piersią przebitą,
W której na jęki już nie stało głosu,
Ożywion pieśnią wpośród walk chaosu,
Z gwiazdą zwycięztwa, męczeństwem zdobytą,
Która nie gaśnie od żadnego ciosu,
Zawołał: Cześć ci! cześć Bolesławito!...
I po wyroki dziejowego sądu
Pieśń twa powiała do zmartwychwstań lądu,
A naród w słowo wieszcze zasłuchany
Znów poszedł „naprzód“ krwią i potem zlany,
Gdzie wśród skalistych dróg przyszłości jemu
Świecą nad ziemi tej święte kurhany,
Piorun Golgoty z gwiazdą Betleemu!

Lipsk, 1865.

SOŁOWIJÓWKA *).

Na wieczną hańbę carskiemu rządowi,
Na wieczną kaźnię polskiemu ludowi,
Na smutek aniołom, na radość szatanom,
Na piorun dla Boga, na klątwę kapłanom
Dzień ten pozostanie!...
Gorszy niż Gonty wściekłe rozbestwienia,
Niż Galicyjskich „sielanek“ wspomnienia,
Oh! pożal się panie!...
Oni ze złotą wolności hramotą,
Oni z miłością, męczeństwem i cnotą
Szli ku nim święte, apostoły bose,
A na ich głowach lud skalał swą kosę,
Topór swój splamił i przeklął swą dolę,
By na wiek dłużej paść w noc i niewolę!...
Targajcie włosy! łamcie drżące dłonie!...
Trzaskajcie arfy po ich świętym skonie!...

*) Zamordowani pod Sołowijówką: Biesiadowski, Izbiński, Peretiatkowicz, Krypski, Kostko, Bobowski, Przedpełski, Wasilewski, Wołoncewicz, Przedrzymirski i jego brat pięcioletni. Wszyscy inni ranni, bez zmysłów powleczeni do Żytomierza. — (Patrz o Sołowijówce Kalendarz polski na rok 1866, Zürich.)

HYMN WIOSENNY.

Dla ziomka wygnańca Dąbr. . . . . .

Już wiosna zlata, w doliny ziemi
Drzewa oplata liśćmi świeżemi,
W puch je owiała, pocałowała,
I z wonnej dłoni o słowiczej chwili
Miota gierlandy tęcz — kwiatów — motyli!...
Zdrój rozmarznięty pod jej stopą lotną
Już bryzga, szumi falą niepowrotną —
Kolumną woni, zefir ją goni,
Ona uchodzi rydwanem skowronków,
Ciska pierwiosnków wieńcami i dzwonków,
Owad się roi, w barw milion stroi
Naturę,
I szumi i brzęczy, i śpiewa i jęczy,
Gdzieś w dali grzmot runął za chmurę!...
Brzozy w białych koszulinkach
Rozplatają warkocze
Perłami nizane,
Listkami owiane,
Tak szumią urocze
Fale o niezapominkach

Błękitne, czyste, muszczą warkoczami,
Z których spadają perły za perłami
Wiatrem porwane
Kwiatom podane
Na lica!...
Natura dziewica
O panna młoda
Idzie na gody!...
Ileż swobody
I cudów ma krasawica!...
Tam dzwonią skowronki
W błękitów przestworze,
Na cichym ugorze
Z zroszonej obsłonki
Fijołka wyjrzał kwiat!
I boski cały świat!
W błękitach ptaszyna
Dzieńdzieli o wiośnie!
A może wspomina
Mą Polskę żałośnie.
O! Polska daleko
O! święta, tam moja,
Jak dziki szum zdroja
Tam leci myśl moja —
Rwie brzegi, rwie głazy,
Gna, pędzi na jazy,
Bo Polska daleko!...
Daleko!...
I może zawieje
Zadymią śniegowe,
A ptaszę zmarnieje

W noc chłodną, marcową.
Lecz wiosna powróci,
Jak wróżył ptaszyna,
On także się smuci,
On także wspomina.
O! jego piórami
Do Polski bym płynął,
Na polach jej ginął,
Spał pod mogiłami....
Jak każde marzenie
Co na krzyżu kona,
Nim wstanie w przestrzenie
I w czyn się dokona,
Tak proroka wiosny
Śnieg ptaszynę zwieje,
Lecz wiosna zaśmieje
Się w uśmiech radośny
I jutro powróci.
Skowronków rozrzuci
W błękitach tysiące,
Jej chwałę dzwoniące
Pod słońce!...
Szumi zbórz fala, I trzody ryczą,
A słowik to wszystko opiewa,
I piosnka z oddala, Z tęsknotą słowiczą
Podana, przelata ptaszyną!...
I głosy jej giną, I giną i płyną,
Tam głos się dzwonu polami rozmdlewa!...
Tak gwarno wokoło,
O! jasno! wesoło!
Szumią rzeczułki, Dzwonią kukułki

Ku! ku! ku! ku!
Lecz serce tak puka, I puka i stuka
Nie tu! nie tu!...
Wpośród lasu krzyk, wrzawa —
Tam kukułka ciekawa
Dudkowi podrzeźnia się rada,
Tam szpaków się rzesza
Naradza, pociesza,
A czasem turkawka zagada...
I z rzadka, dzierlatka
Za lubym gdzieś szuka
I kowal gdzieś stuka,
Szybują jaskółki,
I kraczą krukowie,
I płyną orłowie.
Znów dzwonią kukułki
Ku! ku! ku! ku!
Lecz serce wciąż puka, I puka i stuka,
Nie tu! nie tu!...
Mnie tylko tak łzawo,
Mnie tylko tak smętnie,
Łza pali namiętnie
Jak piołun me lica! —
Czy w lewo, czy w prawo,
To cudza ziemica,
Nie Polska! nie święta!
O której pamięta
Duch dziki, samotny!...
Zasępion samotny
Duch sokół stęskniony!...
Do Polski i z nieba

Zatęskniłby zwrotny,
Tak mu jej potrzeba
Ku sile żywotnej!...
Tam mogił och! tyle, Co jasnych gwiazd świeci,
W nich kości stóleci, W północne drżą chwile,
Wstają hetmany, I attamany
Mgłą nocną wichrują,
W przestrzeniach wędrują,
I krzyczą Hozanna!
Aż jutrznia poranna
Łzy spłacze perłowe po rosie!...
Brodacze wy siwe!...
O święte! mościwe!...
Wam miłość! i cześć wam potomna!...
Niewiedźcie o naszym wy losie!...
O orły gołębie!... Dziś po was jastrzębie,
Lecz siła u ludu niezłomna!...
Na polach tych słynąć,
Na polach tych ginąć,
Spać z wami w wonnych mogiłach!
O! dałbym krew młodą,
Co taką swobodą
I ogniem mi tętni po żyłach!...
Tu leżę na ziemi,
A rzeka tak szlocha,
Jak gdyby polskiemi
Łzy płynął jej prąd,
Jak dziewczę co kocha — —
A fala rwie ląd,
A miłość rwie życie
Jak kwiaty rwie dziecię!...

Tu leżę na ziemi
Boleścią rzucony,
Pierś tęskni za temi
Licami mej ziemi,
Drżącemi ramiony!...
Tu szumem las śpiewa,
W głos arfy Eolskiej,
Lecz szum ten nie polski,
Tak głucho przewiewa!...
O pola wy sławy! O łąki! o stawy!...
Gdzie skroń na niezapominkach,
Schylona, kąpie włos w fali!...
I śni cicho na barwinkach.
Aż dębu liść weźmie na czoło!...
O! czemuście w dali!
Tu pusto, tak tęskno w około!...
Wzrok dusza natęża, I skrzydła wypręża,
Boleścią natchniona, Tęsknotą niesiona,
Już pióry białemi, Tam! rwie się k'tej ziemi,
To krzykiem orlęcia,
To głosem jagnięcia,
Aż duch mój wzniesion boleścią ogromnie,
Jak trąba ryczy, zerwany z gromami,
Woła pieśniami, zdrojami burzami!
O moja matko z krwawemi piersiami!
O moja matko! chodź do mnie! chodź do mnie!

Lipsk. Rosenthal, 1866. w Szyllerowym domku.

ODPOWIEDŹ

NA WIERSZ: SPOWIEDŹ ORŁA. DO D. D.

(*Biały orzeł mówi:*)

Sercem mnie pytasz, o cichy młodzianie!
Strugą krwi ciepłej odpowiem
Pod śnieżnem pierzem. O! patrz, co w tej ranie
Bolów, szarpiących mem zdrowiem!...
Widzisz łańcuchy, co lot mój spętały,
Widzisz te węże na nodze,
I wrogi szpony mi powydzierały,
W własnej krwi setny raz brodzę...
Oj! tak w czerwonem ja się lęgłem polu,
Za obronę Chrześciaństwa,
Dziś sieją Polskę mą ziarnem kąkolu,
Bezczeszczą jarzmem tyraństwa!
Ale najsroższa męka piekielna,
Nad pocałunek Judasza,
To, że lud gorszą — a w nim nieśmiertelna
Iskra, co ciemność rozprasza....
Lecz patrz tam! w przyszłość o smutny młodzieńcze,
Na dalekiej wieków fali,

Zmartwychwstających piorunem ja wieńczę
By więcej nie zasypiali!...
I mądrych „bólów własnych“ doświadczeniem
Prowadzę „prawdy“ koleją,
Wolnych! miłości natchnionych natchnieniem!
Sybiry w wiosnę topnieją!...
Wieczna się wiosna odrodzi w ludzkości,
Męką Polski wymodlona,
Wolność jej, świata, ołtarzem wolności
Choć z cierniów jest jej korona!...
Cóż jej, strażnicy, bram Chrześciaństwa
Miał Chrystus oddać w nadgrodę?...
Koronę własną zdjął wśród pogaństwa
Jej dał na siostry urodę!...
Ty lud ten kształcąc, na dzień Piastowy
„Z macierzyńskiem powołaniem,“
Z skrzydeł mych ściągasz łańcuch wężowy,
Oczy napełniasz świtaniem!...
Za taką pracę, która nieraz zdoła
Więcej niż harfy i miecze,
Litwa z Koroną i Rusią woła
Cześć! dobrej woli człowiecze!...
Patrz!...
Na olbrzymim krzyżu dziejowym
To Polska ukrzyżowana!
Naga — i krwawa, w dniu judaszowym
Smiertelnym potem oblana!!!...
A tyś jej przywiódł pod krzyż pacholęta
Coś w bożej kształcił winnicy,
I z gwoździa zdjęła, dłoń jedną ta święta,
Dłoń krwawą, dłoń męczennicy!...

I nad twą głową wyciąga ją drżąca
I nią błogosławi tobie,
Za lud ten matka, cicha, dziękująca
Wspomni cię w potomnej dobie!...

DO MŁODEJ CUDZOZIEMKI,

która włosy i klejnoty swoje oddała na rzecz tułaczy polskich.

O młode dziewczę! jak jeszcze wiosenno
W duszy twej cichej, i jak w sercu czysto,
Kiedyś oddałá z radością promienną
Warkocz twój cudny dla wsparcia tułaczy,
Co idą drogą stromą, szorską, mglistą,
Którą w ciemnościach grom rozwidnia, znaczy,
Przez piekła idą!... lecz w przyszłość bez granic
Gdzie bez miłości, wszystko — za nic! za nic!
Czyś podsłuchała jakiego skowronka,
Co z pobojowisk naszych zabłąkany
Zaleciał tutaj, i gdzie twoja łąka
Wyśpiewał tobie łzy, krew, bój i rany?...
Czyś się wpatrzyła tak w prądy Elstery,
Gdzie tonął Polski syn wierny i szczery?!...
Kiedy wśród obcych czyn twój cichy wspomnę,
Zda mi się, żeś ty Polką, o dziewczyno!
A włosy twoje obcięte i wonne
Przetkane kwiatkiem i łezką jedyną,
A jasne jako z główki białej Psychy,

To nawlókłbym je na mej arfy struny
A z strun tych tobie wyprządł łzy, pioruny,
I ludu mego opiał ci koleje,
Straszniejsze niźli Nibelungów dzieje,
Lecz pełne siły olbrzymiej i słońca,
Pełne Tytanów walki, co odkupia,
Na którą próżno bije siła trupia
Bo początkowi ich — nie będzie końca!...

BRATNIE HASŁO.

Hej! do nauki o bracia Rusini,
Z ręką na sercu, dłoń w dłoni a razem!
By na pokusy nie wiódł was obrazem
Świętym zakwefion, szatan opłacony!...
Byście w dziejowej przejrzeli świątyni,
Że tu bez Polski dzień wasz policzony....
Żeście bez Polski jak ryba bez wody,
Że was los czeka wszystkich odszczepieńców,
Że jeźli dołki pomiędzy narody
Kopią nam wrogi, to sami z szaleńców
Ślepotą wpadną w nie, a Polski sprawa
Zwycięży — a z nią cześć i dobra sława!...
Hej! do nauki o bracia Rusini!
Świat nowych potęg stwórzcie między sobą,
Literaturę nową! — co ozdobą
I tarczą byłaby wam, co przyczyni
Światła w poglądzie — by rozróżnić bratnio
Pomiędzy swemi — a carskich sług matnią —
Kto swe sumienie odda za ordery,
Ten katom odda lud za podłe złoto,
I serce odda im za tabakiery,
I lud pogrąża w schyzmę — noc — i błoto!

Więc baczność! praca na taką praktykę,
Czując, że niedość zatknąć gramatykę
Na narodowy sztandar tak zuchwale,
O! idźcie naprzód w szlachetnym zapale,
Lecz idźmy prosto — i w bratniej miłości,
Jak Wisła z Sanem zlana w prąd przyszłości.
Polska — a Bóg!...
Szatan — a car!
Szatan twój wróg!
Polska twój brat!...
Car — straszny kat.
Z dnia krwawych mar!...
On wam pochlebia, by was rzucić potem
I jako z dzieci pod szatańskim młotem
Ukuć z was nowe narzędzie niewoli!...
Bracia! zaprawdę! ból ten strasznie boli!...
Więc „sursum corda!“ nad nocnemi dzieły,
Aby was kiedyś... dzieci nie przeklęły!...
O! idźmy razem, razem w imię Boga,
Za Dniepr! za piekło! odeprzemy wroga!

PRYWATA A DOKTRYNERKA.

Dla pychy, złota, czy marnej doktryny
Kto Polskę zdradza, ten jednakim zdrajcą,
Jednakim wobec sprawy winowajcą
Co szarga dłonie, pełne zbrodni, winy —
Czy z tej, czy z tamtej broni pocisk pada —
Jednaki owoc posiewu — zagłada!...
Więc różne drogi — ale cel jedyny.
Temu w kim raz się przebudziła zdrada!...
Nie wart zamiatać uświęcone bruki,
Krwawe, w klasyczny ołtarz poświęcenia
Już zamienione!... nie wart w dzień pomszczenia,
By ścierwem jego żyły polskie kruki,
By zapomniały o nim — lepsze wnuki...

PAMIĘCI

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO.

Gdy noc piekielna zapadła nad światem,
Co oślepł od krzywd naszych krwawych znamion,
Tyś najpiękniejszym skończył poematem:
Dałeś ojczyźnie dwoje zdrowych ramion,
A Bóg — męczeństwa dał ci za nich dzielność,
A Polska — w sercach braci — nieśmiertelność!...

WSTĘP DO POEMATU:

„LICA MEJ ZIEMI."

Poświęcone z wdzięcznością X. J. S.

„Wszystko dla ludzi — ale nic dla ludzi. —

Kocham te dzikie, wspaniałe wybrzeża,
Kędy się Wisła tak raptem rozszerza *)
Jak pierś człowieka, po latach dziesięciu
Cierpień, gdy westchnie w radości objęciu!
Hej! tam nasz Wawel, gniazdo orłów stare,
Wieżyce jego wzdychają dzwonami,
A barki jego pisane wiekami,
A groby jego, chwałą wieków jare!...
Po jednej stronie Skałka, jego córa
Prężу ku niebu błagalne wieżyce,
Z bolów wiekowych na jej czole chmura
Osiadła... u stóp — staw — Polski łzawnice...
Od wtórej strony, syn jego kochany
Siadł na swych skałach, ponury Zwierzeniec,
Ku niemu z borów wyjrzały Bielany
I z dali czoło z chmur wychyla — Tyniec!...

*) Pod Wawelem.

I kiedy warknie jego dzwon pęknięty,
To reszta dzwonów groźny hymn poczyna,
Pełen harmonii, jak w swferach poczęty,
Bogu się boskich rzeczy upomina!...
Jak wielka arfa w powietrzu, dziejowa,
Co nad dwa morza zawiesił Jehowah,
Akordem hymnu zlane przed ołtarzem
Słońca, co spada za Tatrów błękity,
Grają co wieczór rapsod dziejów — razem,
We łzach wieczornych zórz chrzczony i myty!
I stare lipy — i te nadwiślańskie
Topole z błoni kępy zwierzenieckiej,
W jednej harmonii hymn szumią, jak pańskie
Służebne — matki tej pszczoły szlacheckiej,
Która w bój poszła — bo tak dzwon Zwierzyńca
Krzyknął, — aż odwrzasnęli mu orłowie,
Na marmurowych tarczach, co Piastowie
Dzierżą tam przeciw obłudzie zdradzieckiej,
Jak gdyby w tarczę swą zagrzmiał od Tyńca
Bolesław Chrobry szczerbcem — na „jej“ zdrowie!...
Wsłysz się w te dźwięki z Kościuszki mogiły
Każdy — ktoś człowiek — a będziesz Polakiem,
Weń niech się wsłucha, kto wygnania ptakiem,
Weń niech się polskie wsłuchają dziewice,
A w sercu każda stanie się aniołem —
Młodzian niech słucha, zanim apostołem
Ofiary życia zapali gromnicę!...
Arfo! niech dzwony świadczą ci tonami,
Niech cię przypadłą do Polski kurhanów

Uniesą w górę, jak orłów skrzydłami,
Ku słońcu jutra, co wstanie z nad łanów —
Niech ci zaświadczą hymnem odrodzenia
Tem — co cię szarpie dziś — wśród zapomnienia!
Gdy w piersi piekło — a w sercu posucha,
Zgrzyt zwątpień gorszy, niż dźwięki łańcucha,
Gdy naród chwilę jedną zwątpi w siebie,
Gorzej mu — niżby zgasło słońce w niebie!
I będzie długo nosił łuski w oku,
Aż w krwi je znowu obmyje potoku.
O Polsko! gniazdo ty cnoty i chwały,
Na ziemię twoją rzucam się piersiami,
I jako matkę całuję ustami
Drżącemi czuciem, co twe rany ssały!...
Z miłością w duchu, co wziąłem po tobie,
Z boleścią, którą czuję na twym grobie,
Z poczuciem twego w dziejach zmartwychwstania,
Co cię na globie stawia jaśniejącą,
Już nie wskrzeszoną — ale wskrzesającą,
W zórz brylantowych purpurze świtania
Palmę ludzkości miłośnie dzierżącą,
Z mieczem, co słabych wznosi i obrania...
Ty z krzyża unieś dłoń tylko nade mną,
A będę szarpał szponami te struny,
Wśród spieki ducha, gdzie palą pioruny
Ale i świecą palące przedemną! —
W pożarze piekieł pyta cię pieśń moja,
Ziemio nad ziemie —
Gdzie dziś ziemia twoja!?...

Pojrzyj w to jasne — czyste — polskie niebo,
Co nam jak chleb powszedni jest potrzebą —
Pełne piorunów śpiących, grzmotów ryku
W wieńcach tęcz — pełne łez — żurawi krzyku,
I niezgłębionych głębi — i tajemnic
Błyskawicami rozdzieranych ciemnic,
Spojrzyj! i zbudź się ludu! z twej niewoli!...
Ludu! zaklęty ptaku! uderz w skrzydło,
Bo nie dla ciebie tyranów wędzidło!...
Wołam ku tobie wśród piekła swawoli,
Ach! bo niewola boli mnie twej woli!...

* * *

Ty! co zapalasz słońca, jak gromnice,
Gaśnienie planet wskrzeszasz piorunami,
Patrz! na tę ziemię, ludów błagalnicę,
Jak z krzyża do Cię tęskni ramionami!...
Patrz na nią! wszystkich gwiazd twoich oczami!
Z dymów pożogi rozkwefiam jej lice
Arfę zarzucam w niebo —
Jak kotwicę!...

II.

RÓŻNE WIERSZE.

POSĄGI.

POEMA.

Maryan nad prawdy posągiem pracował,
O którym marzył od dni swych dziecinnych,
Z gorącą wiarą, którą w duszy chował
Jako kwiat wonny, z ziarnem światów innych.
W duszy Maryana jak w jego pracowni,
Było szeroko — biało — i spokojnie,
Posągi myśli, jak męże wymowni,
Ciszą, a czasem kwiat zakwitnął strojnie.
Gdy się już posąg z bryły wyłamywał,
Wprowadził Maryan dni swych towarzysza,
Z którym od dziecka ślubnym bratem bywał.
Czy burza w piersi była im, czy cisza....
I długo obaj przed posągiem stali,
Dzień ciemniał — i przez gotycką arkadę
Księżyc na posąg rzucił światło blade,
Jak pocałunek kochanka z oddali....
A byli obaj młodzi — pełni szału —
I kochankowie obaj — ideału,
Jak pierwszy piorun — co z wiosennej dłoni
Pada, do tęczy stóp — na fiołków błoni....

Na ścianie arfa wisiała — na której
Strunach miesiąca zadrżał promień złoty,
Chwycił ją w dłonie Bolesław ponury,
Zatargał w strunach szponami tęsknoty,
I po nad głową drucha tak zanucił:
„Jeźli ci prawdy błysła postać biała
Z czarą, co od ust Bóg jej nieodwrócił,
Co apostołem ostatnim być miała....
To wiesz — że tam! jest mistrz ów rzeźbiarzem,
Boleść mu dłutem — a posągiem człowiek —
On światów życia, harmonii, harfiarzem
Z piorunującym dłutem, z łzą u powiek!...
Im więcej ciosów zada — tem cudniejszy
W nieśmiertelności staje posąg ducha,
Tem wyżej wzlata, im jest pokorniejszy,
Gdy się w klucz orłów bólem natchnień wsłucha.
Prawda mieć winna lica jak zwierciadło,
W któremby człowiek widział własne dzieło,
Czy tam, gdzie serce iskrą niebios władło,
Czy gdzie się bydlę w człowieku poczęło! —
I dla idei świętej apostoła,
Co cierpiał, walczył i padł niezwalczony,
Ma jasne lica tryumfu anioła,
Co budzi z grobów ludzkości miliony....
Dla pracownika, co jej oddał życie,
A siebie zaparł śród myśli przestworza,
Ma najpiękniejszą z gwiazd, co na błękicie
Na czole swojem — jak jutrzenkę morza....
A dla człowieka, który żył miłością
I od miłości skonał, w pośród ludzi

Winna mieć szczęście ludzkości, co budzi
Na gody wieczne, wiedzę — z snów przyszłości —
Dla bohatera co legł dla ojczyzny,
Lub dla niej cięższem żył od śmierci życiem,
Ma uśmiech bóstwa, płaszcz z gromów wyszyciem,
Co był w jego gwiazdolity blizny....
Dla maluczkiego — który zdziałał swoje —
Pogodę — jako pieśń żniwiarzy chóru,
Pokój — co w duchu gra jak dzwon wieczora
I z sercem matki — na grób kłosów zwoje —
Na ustach pieczęć ma dla przyjaciela,
Która rozwiąże jego pocałunek
I w oku dużą łzę — pocieszyciela —
A w piersi serca loretański dzwonek,
I bezimienną smętność ma twarz biała,
Z wyprężonemi namiętnie ramiony,
Lecz nóg skrzydlatych lot jej skajdaniony
Wieńcem narcyzów — by nie wędrowała....
A dla sumienia dręczonych narodów
Ma wyraz taki — jak piekło zbawione,
Porywający na dzień ducha godów
W loty miłości, miłością szalone!...
A dla tyranów ma potworu lica,
Jak zbrodnie, co na grobie ich usiędą,
I w swych pochodni blask, jak błyskawica
Piekło ich piersi rozświecały będą!...
O! tu jest wszystko bracie!... ale nie ma
Boleści wielkiej — która matką ducha,
W miłość się zmienia, mękami olbrzyma

Złość — od ludzkości zabija łańcucha!...
Ona co wieki kona na Golgocie,
Co błonia Polski za świat cały krwawi,
Za „pługiem dziejów“ stąpa w czoła pocie,
Aż w łez milionów tęczę — świat oprawi! —
I spuścił arfę, z piersią co jak fala
Spadała wstając, bólem kołysana,
Gra tonów nikła rozpłakana zdala,
Jak chmura liści wichrami porwana....
Ha! więc ci dłutem mem dam arcydzieło
Prawdy, mój druchu, że krzykniesz z zachwytu,
Dłutem uderzył w pierś — i padł jak dzieło
Bruta — co jutrem miało dosiądz szczytu!...
Bolesław niemo stał nad drucha ciałem
I patrzył w „prawdę boleści,“ lecz nagle
Padł, jak podcięty dąb — rozpaczy szałem
Na trupie trupem — duch rozwinął żagle....
A posąg prawdy stąpił z piedestału,
I płaszcz swój na nich rzucił matki dłonią,
Zanim w świat poszedł — cicho i pomału....

* * *

I odtąd nagi, jako szczyt Golgoty,
Szedł przez świat wielką pobojowisk drogą
A za nim w pochód ludzkość śród tęsknoty
Szła mleczną drogą w przestwór ideału *)....

*) Umieszczone w „Dzienniku literackim“ lwowskim z małemi wariantami.

DZIKA BALLADA.

I.

Rycerz Bolko jedzie na łów, na łów z świtem słońca —
Rycerz Bolko już rumaka w bok ostrogą trąca —
W tem wybiega młoda żona, woła: mężu drogi,
Zostań, zostań dzisiaj jeszcze u twojej niebogi!

Rycerz Bolko brwi namarszczył, nie mogę, nie mogę,
Spojrzał z grozą miłościwą na swoją niebogę.
Ona rzekła: zostań, błagam na miłość twej matki,
Rycerz Bolko zskoczył z konia, z zdumieniem czeladki....
I w próg poszedł za swą panią, cichszy od jagnięcia,
Lecz rzekł: żono! nie nadużyj świętego zaklęcia!...

II.

Rycerz Bolko jedzie w drogę do książęcia brata,
W dziewosłęby jedzie chętnie, na miłego swata,
W tem wybiegła młoda żona, woła: mężu drogi,
Zostań, zostań, nie odjeżdżaj od swojej niebogi.

Rycerz Bolko spiął rumaka, nie mogę, nie mogę,
Spojrzał z grozą miłościwą na swoją niebogę,
Ona rzekła: zostań, błagam na miłość twej matki.
Rycerz Bolko z konia zskoczył, z zdumieniem czeladki....
I w próg poszedł za swą panią, cichszy od jagnięcia,
Lecz rzekł: żono! nie nadużyj świętego zaklęcia!...

III.

Rycerz Bolko jedzie na bój, na bój z wschodem słońca,
Rycerz Bolko już rumaka w bok ostrogą trąca —
Wrzasły trąby, kraczą orły — żona: mężu drogi!
Zostań, woła, dzisiaj jeszcze u swojej niebogi!

Rycerz Bolko dziko krzyknął: nie mogę, nie mogę!...
I źrenicą sępią rzucił na swoją niebogę —

Ona woła: zostań, błagam, na miłość twej matki....
Rycerz Bolko porwał topór, ze zgrozą czeladki
I tak ostrzem tem ugodził w głowę swoją panią,
Że mu u stóp padła martwa, białą, krwawą łanią. —

IV.

I popędził gromoskrzydły, za nim gnają szyki,
Lecą — słońce krwawo wschodzi — w polu najezdniki,
I popędził, jak noc czarny, kędy wrogów chmura.
Pierzchły wrogi — wschodzi księżyc — kędy trupów góra,
A na górze tam trup Bolka króluje, niebogę
Zda się wzrokiem szukać, mówić, nie mogę, nie mogę!...

Szumią wichry, huczą zdroje, w stepach Bolka imię,
Płoną sioła, płoną miasta, w pogorzelisk dymie —
Wśród modrzewi słowik kwili nad pani mogiłą,
A o Bolka żrą się kruki z orłów dziką siłą!

FILOZOF.

Galilee vicisti!

Do rdzawej furty starego klasztoru
Zadzwonił starzec w starganej odzieży,
Klasztor samotny śród dzikiego boru
Stał; nad bór wzrastał szczyt gotyckiej wieży,
„Do wrót tych pukam, pielgrzym ze dróg świata,
W wasze pustelne chcę się schronić progi,
Wiatr z siwej głowy włos mi dziś obmiata,
Z siedziby własnej wygnały mnie wrogi. — —
Tułacz tu waszej szukam gościnności;
Lecz wiary waszej nie podzielam mnichy,
A słowo moje za dni swej świetności
Wielu z was celi pozbawiło cichej —
Pragnę żyć tylko wpośród was nieznany
I bez nadgrobku spocząć w ziemi waszej,
Tu chciałbym zgoić niezgojone rany,
Szukałem prawdy... niech was to nie straszy,
Bo jej szukałem czystej, myśli wzrokiem,
Jak wśród pragnienia za górskim potokiem.“

—„Dom nasz otwarty tułaczej starości,
Cichy mnich odrzekł — i rozwarł podwoje, —
Każdego z smutnych witamy w miłości,
To cela, starcze — oto łoże twoje.“ — —
I spoczął przybysz — zatrzasnął drzwi celi,
Oko go ludzkie rzadko widywało,
Czasem się tylko jego skroń zabieli
Śród lip cmętarza, albo gdy świtało,
Idący bracia do rannego chóru
Czasem go pod kolumną spostrzegali
W mroku kościelnym, z głową śród kapturu
Stał — i wraz znikał — bracia coś szeptali....
Minęły lata — aż raz po nieszporze
W dzień cichy, jasny, świętalny, majowy,
Brzmiał jeszcze organ i śpiew konał w chórze
Z dymem kadzideł wzlatując nad głowy....
I za ołtarzem w ustronnej kaplicy
Znaleźli go — bez życia zakonnicy —
Na marmurowej podłodze o ścianę
Wsparty, miał w ręku głaz — a w piersi — ranę —
Klęczał jak posąg, walk wysiłkiem blady,
I cicho było — i jasno w około,
A od załomów gotyckiej arkady
Strzelał mu promień na szerokie czoło *)....

*) Umieszczony w „Dzienniku literackim“ lwowskim.

KOLIBRY.

Sonet do R.

Kolibry a wspomnienie — to mała różnica —
Kolibry — jest sonetem w poezyach natury,
Trochę wziął z barwy tęczy, trochę z rannej chmury,
Z łąk kwiecistych, z motyla, — z morza, gdy rozświeca
Słońce złote zieloność cichego przestworza. . . .
A wspomnienie? . . . ma także z chmur i tęcz kolory,
Parę kwiatów z łąk drogich, gdzie w ustronne bory
Wydeptane już ścieszki zarastają — — z morza,
Ma wszystkie głębie, wszystkie burze, tylko ciszy
Niema zwykle — i jest jak koncha, w której ucho
Słyszy przeszłość, tęsknoty pełną, smętnie drżącą . . .

Wtedy chmurą wspomnienia, jak kolibrych stado
Lecą na łąki duszy — a łza twarzą bladą
Płynie . . .
Lecz kolibrego weź z śmiejącą twarzą!. . .

MODLITWA NIEMEGO.

Na góry wyniosłe wychodził nocami cichemi,
A w gwiazdy oczyma i duchem gdy tonął
w naturze,
To niemym się Stwórcy językiem zwykł mo-
dlić swej duszy,
Bo w obec gwiazd cichych się niemy wymo-
wnym, a mowny
Się niemym, u ducha stał nieraz, bezbrzeżnych
przestworów. . . .

ODA

na wieść o wyswobodzeniu Wenecyi 1866.

O dniu weselny! o dniu radosny!.....
Witaj w ludzkości!...
Dniu najcudniejszy nad wdzięki wiosny!
Nad dzień miłości!...
Wstań!... lwie skrępowany!...
Ryknij radośnie na twojej kolumnie!
W proch się walą tyrany,
Co tronowały na narodu trumnie!...
Ryknij tak — aby Adria cała zadziwiona
Wierzgnęła pianą grzyw aż pod niebiosy,
I odryknęła tobie, łuną zrumieniona,
A jej Wezuwiusz odgrzmiał w niebogłosy!...
By brzęk pękniętych łańcuchów
Konał w podziemiach przeszłości,
Odbity w krainie duchów
Przeleciał w pieśń potomności!...
Hej pałace ponure!...
Drżące falach liliami!...
Zapłońcie lamp festonami!...
Zapłońcie w ogni chmurę!...

Kampanillo bij w dzwony!...
Ze snu wstaje królowa!...
O! piękna... nad wsze słowa
Godna Dożów korony...
Jako Wenus wstająca
Z fal...
Dziewiczą palmą drżąca
Pogląda
W dal!...
I żąda
Dawnej chwały,
Lud cały.
Zaślubić morzu pierścieniem!
Miast pierścienia na wieki
Pod tem niebios sklepieniem
Rzuć łańcuch Andromedo,
By przepadł w głąb
Z zhańbieniem
Ludu!...
A sama wstąp z natchnieniem
W rydwan chwały i cudu!...
I niech wolności gwiazdy ciebie wiedą,
Płynącą w jasny przestwór ideału!...
Hej dożowie wyjdźcie z ram!...
Jak Adria z swych brzegów!...
Wśród ludu szeregów!
Patrzcie, co za dzień im dan!...
Patrzcie na te łzy radości,
Na dłonie, co się ściskają,
Na grzmiący okrzyk wolności,
Starce z radości konają!...

Na ten Wezuwiusz zapału,
I na to morze rzewności,
Patrzcie — zbudźcie się pomału,
By usnąć znów w szczęśliwości!...
Po tyle razy łupiona,
I własnych pastwą tyranów
Dziś wolna i odrodzona
Wstaje z nad morskich bałwanów —
Już gondole jaskułczane
Spiewają jej barkarole
I w kwiaty rajskie odziane
Już lecą na fal swawolę!...
I gołębie jej z mewami
Turkoczą nad warkoczami
Rozwianymi w dym wulkanu
Wiejącemi na cześć Panu!...

O wstań! Italio smutna wieków tyle —
Wstań samowiedna i o życia sile
I idź w ludzkości postępowe drogi
Męztwem i gracyą twe szlaki znaczone,
Strzeż się niewoli i swawoli srogiej,
Byś wzniosła czoło piękne i natchnione!...
By zadrżał w grobach z radości Dant blady,
Sieroto Romy! dziedziczko Hellady!...
Choć nie mój naród jeszcze zmartwychwstaje,
Biję z radością w mą arfę pod niebem,
Choć my niewoli łamiemy się chlebem,
Lud jeden więcej wolny!... więć mu daję

Pieśń, jak rzuconą palmę!... o! w radości
Twojej Italio, z dyademem słońca
Co nad twem czołem wschodzi z mórz bez końca,
Bądź „wielką“ w wielkiej rodzinie ludzkości!...

Paryż, 1866.

PSEUDO SATYRA.

Die Distel sprach zur Rose:
Was bist du nicht ein Distelstrauch,
Dann würdest du auch was nützen,
Dann frässe dich der Esel auch.
Mirza Szaffy.

Le vent etait l'ennemi de Gilliatt,
il entreprit d'en faire son valet....
Hugo, Travailleurs.

Tu koniec pieśni — muza się oddala,
Już w inną stronę rwie ją nowa fala,
Czy arystarchów szkiełko jej dostrzeże,
Tą razą — nie dbam o to — powiem szczerze —
Dotąd jej wieniec pokrzyw bywał dany —
Ale jej chwałą są podłe nagany —
Sowa witała ją szyderstwem szponów,
Co wstecz leciała, przekleństwem skorpionów,
I szakalowe tylko urągania —
I obojętność — co muchy ogania....
Studencka muzo! w powiewnej sukience,
Zaśmiej się smętnie, klaśnij w obie ręce,

I leć twą drogą!... bo nadto znędzniona
Gadzina — by jad dosięgł twego łona —
Tyś zbiegła na świat w chmurze piorunowej,
Nad tobą wieńcem szumi bór dębowy,
I leśni ptacy twoi powiernicy —
A orły w chmurach — to twoi krytycy....
Tobie dość rano spojrzeć na wschód słońca
A wieczór słyszeć — ocean — bez końca....
Nad którym ludu twego przyszłość świta
W płaszczu zórz jasnych i tęcz upowita —
Gardź podstępami — wznieś mi w górę głowę,
Jako portowa wieża zapalona,
I leć w miłości drogi postępowe,
Dumna — że wieńcem pokrzyw uwieńczona...
Radź się sumienia — chroń się jadu pychy,
Lecz dumę dołącz do uśmiechu Psychy,
W dół nie upuszczaj łzawych, dumnych powiek,
Chociaż nie jedna matnia na cię czeka,
Gdy cię ukąsi gadzina lub człowiek,
„Zrozum gadzinę — a podnieś człowieka!...“
Już czuję nowych krytyk formę starą,
O moja muzo! podpal mi cygaro....
Tu mi się złamał pióra koniec twardy,
Snać nie satyry miejsce — —
Ale wzgardy!

NA DYMISSYĄ BELKREDEGO.

(1 8 6 7.)

Niechaj Ci smutek każdego „człowieka“
Swiadczy, że szedłeś naprzód z twoim wiekiem;
Żałość po tobie cały kraj powleka.
O — czemuś rzucił ster tego okrętu,
Gdzieś przy kotwicy stał wśród burz odmętu,
Swiadcząc, że i minister może być człowiekiem!

KWESTYA SZKÓŁEK.

Honny soit qui „bien“ y pense. — — —

Oświata ludu! szkółki zakładajcie!...
Na wszystkie strony krzyczą filantropy,
Oświata ludu! Polskę oświecajcie,
A za nią pójdzie niepodległość w tropy!...
Moiż krzykacze! wy duchy czerwone!
Bajką są wasze teorye wyśnione,
Bo nim dla ludu szkółki zeszlą nieba:
Szkółki dla szlachty założyćby trzeba!

KOPALNIE.

(*Program do rapsodyi fortepianowej.*)

Poświęcone Jeremiemu!

A pamiętajcie na okowy moje!
Św. Paweł.
Galilee vicisti!...

Wśród kopalni ognie gorą
Jak w piekieł otchłani,
Nadzy ludzie z łańcuchami
Biją w skały dłonią skorą
Kyklopów młotami!...
A serca ich cięższe jak te bryły skał —
Nim dusze ich białe z mdłych wywieją ciał,
To szepczą do siebie, że jest Bóg na niebie,
Lecz na ziemi car, Pan życia i kar!...
A kopalnie się zaśmiały, Echem młotów zadźwięczały,
Że nie tak piekielne Piekło nieśmiertelne!...
Dziko dudni, grzmi, przepada
Biada! biada! biada! biada!...
Palnie młot!
Świśnie knut!

Skonał ktoś!...
Na piród!
Cara proś!
W horu knut!
Tobie skon!
Sukin syn!
A mnie plon!
A mnie czyn!
Da car!...
Kajdan dźwięk, ofiar jęk
Zaśmiał się do koła
I o pomstę woła!...
Walą, tłuką dłonią skorą
Rytmem piekła młot
Spada! w dali ognie gorą,
W strómień bieży pot!
Bryły dudnią, grzmią, spadają,
Warkoczami iskry lecą,
Ognie świecą i łzy świecą,
I podziemia dźwiękiem grają
Młotów, jęków, blasków chórem,
Że się piekła lękać zdają,
Choć im dziko urągają
Gzów moskiewskich chórem!
Biją! walą! rąk tysiącem
Jednego wzniesienia,
Że drgają sklepienia.
A z potem gorącym
Zimna łza kamienia
Przepada — i ginie —
A dźwięk dziki płynie

W przepaściach zaćmienia!
A chór więźniów śród katuszy
Długą nocą męki głuszy
I pod młotów głośne dźwięki
Tuli w cichy głos piosenki
Popłynęła... popłynęła...
„Jeszcze Polska nie zginęła!...“
Lecz tak blada i mdlejąca
Jak pod krzyżem Marya,
Że cała Kalwarya
Przy niej zdała się śmiejąca!...
Nuci chór, a serce boli,
Zmartwychwstańców wśród niewoli!...
Gorsze młoty w Polski serca
Walą, gromią, to uśmierca!
Tam — niewiasty bydłem gnają
W łańcuchach spętane,
Przy ogniach padają
Znękane!...
Wilcze oko w cieniu świeci!...
W oświeconych dniach stóleci...!

* * *

Tam w głębokim — wielkim — cieniu,
Leży matka drżąca, blada,
Młoty dudnią: biada! biada!
Ona patrzy ku sklepieniu,
Bo dziś dziecię upowiła,
A drży, bo go w zbydlęceniu

Szyzma dziegciem nie ochrzciła!...
Ale obok stromej skały,
Ot! źródełko wypłynęło,
Gdy w ludziach czucie zginęło —
Szlocha źródło czarną skałą,
Obok cichy więzień z brodą
Kuje młotem — i rzekł: w ciało
Się na wieki słowo — stało!...
Jam kapłanem matko biedna!
I dziecinę ochrzcił wodą —
Znowu więcej dusza jedna —
I cichaczem tak chrzcił dziecko,
Jakby zbrodnię knuł zdradziecką,
Szepcze matka nieszczęśliwa,
Niech: Bolesław się nazywa!...
A niech nad promienie słońca
Kocha Polskę aż — do — końca!...
I skonała — a z łańcuchów
Dusza poszła chórem duchów,
Z dźwiękiem młotów uleciała
Jako z lilii, z formy ciała,
A dziecina pozostała,
Tylko nad nią Bóg!
Co nad zwątpień próg
Wznosi dusze — piętrzy ciała!...
Wśród zbirów dziecino mała
Może wzrośniesz zbawcą kraju! —
Może cię „według zwyczaju“
Car tak dobrze wypiastuje
I tak dzielnie wymusztruje,

Że Różycki z ciebie będzie,
Gdy zawoła kraj,
Roztysiącznion zawsze, wszędzie!...
Duch męczeństw, krwi maj!...

* * *

Biją! walą! grzmią młotami,
Echo kona przepaściami,
A nad chórem skajdanionym,
W strasznym pocie udręczonym
Cień olbrzymi, Chrystusowy
Śnieżny! wstaje! i swej głowy
Ciernie niesie nad sklepieniem
Z „wtórem“ krzyża przeboleniem!...
Wielki! nad szczyt Himalai
Purpurowy w zórz błękitach!...
Na boleści naszych szczytach
Płynie! z nad piekielnej zgrai!...
W górę serca! w przepaść czoła!...
Niech o pomstę nikt nie woła!...
Sunie boski! jaśniejący!...
Jakby znowu krwawą pracą
Wołał z krzyża konający:
Za coś mnie opuścił, za co!
Ojcze! jam syn kochający!...
Za nim matka jego święta.
Dalej polscy patronowie,
Biskupowie, hetmanowie,
Sobiescy i Kościuszkowie,
Barscy — i apostołowie!...

Przeciągają zapłakani,
Świadczą — na sąd powołani!...
A za niemi Polski dzwonów
Głosy dzieją, do ich tronów,
Tak jak grają śród dąbrowy
Od Wawelu! Częstochowy!...
Tak jak wieją z nad zbóż fali!...
O! tam w dali!... w drogiej dali!...
W świętej dali!...
A tę rosę na pól kłosach
W oczach moich czuję łzawo!...
A ich głos w mej arfy głosach
W głębiach piersi — czuję krwawo!...
Płyną cienie! nad przestrzenie!...
Nad dym, młoty, zbrodnie, cnoty!...
I głos powiał w cieniów świecie
Jako słowo ciałem!
Wy zmartwychwstaniecie!
Jak ja zmartwychwstałem!...
I za cieniem cień przewiewa,
Bo oto dzień Wielkanocy!...
Wstają — płyną — płyną — giną!...
A chór Alleluja! śpiewa...
Wśród niebieskiej ducha nocy!...
A chór w dole grzmi młotami,
Alleluja! boleściami!...
Biją! huczą! ognie gorą!
Tysiąc dłoni pracą skorą,
Straszna bladość lica zwlekła!...
Modlą się już zrozpaczeni,
Daj nam się dokopać — piekła!

Bo nie tak źle śród płomieni!...
Wtem zaszumiał chór od góry!...
Więźnie padli na kolana!...
Ziemi chóry, niebios chóry
Alleluja!... o hozanna!...
Jako arfa mórz wezbrana
Pieją dziejów rapsod wtóry!...

* * *

Z iskier jasnych warkoczami
Noc przepada sklepieniami,
Pieśń w przepaściach się rozłania
Pieśń — to ziarno zmartwychwstania!
Już żrą żmije Murawiewa
A pieśń i pod ziemią śpiewa —
Każden młot, ich męki dzieła,
Dzwoni: „Jeszcze nie zginęła!...“
I kopalnia wnętrznościami
Wstrząsa, ryczy odgrzmotami
Jakby piekła pierś ryknęła:
„Jeszcze Polska nie zginęła!...“

Lwigród, 1867.

KRZYK SARMATKI.

Kocham wichry! kocham burze!
Rada leciećbym na chmury,
Oddam złoto, perły, róże,
By rozwalać skał marmury!...
Tam mąż! syny me na stosach,
Choć się jeży śmierć w mych włosach,
Jam szczęśliwa! o jam dumna!...
Nieugięta! jak kolumna!...
Ja orlica! gołębica!
I od gromu ma gromnica
Się zapala, kiedy słońca
Gasną — aby iść — do końca!...
Ja chcę ramię mieć Samsona,
Chcę siłą walczyć Centaurów,
Niech walka dla mnie nie kona!...
Nie chcę spokoju — ni laurów!...
Wszystko rozdeptać, roztłuc, rozwalić,
Co ludzie zowią zaporą,
Letnich i zimnych w wulkan zapalić,
I dumną podnieść pokorą!...

Gdy mnie dziś płazy nazwą waryatką,
Jutro lud pojmie dla czego!
Bo kocham wolność! bom jest Sarmatką!
Bo czuję ducha Bożego!...

Paryż, 1867.

NA KRAJOBRAZ ROSY BONHEUR.

O różo szczęśliwa natchnieniem i wonią Edenu tajemną!
Zkąd spokój i rzewność ta smętno-wesoła, a cicha,
Co nie tej są ziemi córami. — O! jakże zachwyca
Cudowna ta przestrzeń kwiecista łąk tylu wiosennych,
Jak dzikie, dzierzgane w gierlandach tych skały zielone,
Na których już czołach wiosen tyle składało swe kwiaty!...
I owce te śnieżne z dzwonkami cichemi, skubiące
Rytmicznem chrupaniem te trawy — i w trawach leżące
Tak cicho — żujące spokojnie — — jak sama natura!...
Tam kilka się tłoczy ku sobie i becząc się pasą,

A jedna stanęła i patrzy przed siebie
Becząca, a tamta swych jagniąt już dwoje otula
I liże karmiąca.... Bo zimno na dworze — poranek
Wiosenny, przed słońcem się mrozi — lecz w głębi — o jakże
Prześlicznie poczute to dziewczę samotne, pasterskie!...
Tak dzikie, dziewicze!... tajemne i proste, jak sama
Jej matka, sieroty, natura!... jak cudny ten ciemny
Płaszcz — gruby z łachmanów draperyi!... na głowie ten kaptur
Śpiczasty!... tak zimno!... du!... du!... du!... perłowe zębięta
Tak dzwonią — i rączki się nagie tak tulą do piersi
Tęskniącej — a nóżki jej bose, malutkie — w ogromnych
Drewnianych sabotach, drżą z zimna, na nędzy koturnie...
Weź jagnię na ręce zziębnięta dzieweczko, a jagnie,
Co sama ogrzejesz przy łonie twem tęsknem, i ciebie
Ogrzeje swą wełną, becząc — tak zimno! tak chłodno!
Gdzieś w dali skowronek się ozwał i umilkł — a góry

Pod mgłami zimnemi śpią smętne — w dalekiej, o! cudnej
Oddali! za mgłami daleko — tam szczęście — w pustyni!...

Lizbona, 1866.

KONIEC.

Nota E.

(Patrz w I. i II. części Kropel Czary noty: A. B. C. i D., z treścią ich wiąże się ta nota, jako jedna z relikwii, których nie mieliśmy pod ręką). — Odezwa Langiewicza do wojska, po zajęciu Staszowa 17/2. 1863 r.

Towarzysze broni!

Pół sotni kozaków, jeden szwadron dragonów, jedna rota piechoty i jedna rota strzelców, ośmieliły się zaatakować nasz obóz. Wedle zwyczaju, po zdradziecku przed rozpoczęciem boju zapalili miasto, ażeby tysiące rodzin po lasach i polach zmarniały od głodu i mrozów. Towarzysze broni! wasza dzielność ocaliła miasto i zmusiła podłego wroga do ucieczki.

Jesteście kilkanaście dni pod bronią, a odwaga wasza, spokojność wasza, karność wasza, wesołość wasza i trwoga Moskali nakazują mi sądzić, że jesteście osiwiałemi w boju żołnierzami! Jedlina, Szydłowiec, Bodzentyn, Suchedniów, Baranowa, Góra, Wąchock, Śt. Krzyż i Staszów w ciągu dwudziestu dni okryły sławą was obdartych, ogłodzonych, zziębniętych i strudzonych marszami i biwuakami. — Kraj, który ma takich żołnierzy, musi być wolnym i potężnym!

Towarzysze broni! ojczyzna i historya nie zapomną 17go Lutego! („Czas" krakowski.)

Nota F.

Jak ważną, jak „przeważną" jest u nas obecnie kwestya szkółek, jak każdy co ich nie zakłada, nie ulepsza, nie czuwa nad niemi i nie propaguje onych założenia, krajowi szkodzi, niech nas przekona ów najwymowniejszy, a niedający się zaprzeczyć wykaz statystyczny Lelewela w VII. tomie jego dziejów Polski. Słowa te w marmurze, a jeszcze bardziej w sumieniu każdego Polaka, nie odszczepieńca, rychy należało. Oto krótki wywód Lelewelowski, na karcie 132:

„Lat temu blisko 90, w konfederacyi Barskiej, przez Pułaskich założonej, biła się potężnie z nieprzyjacielem sama tylko szlachta, bywało jej po 8,000 i biła się lat kilka. Kiedy mieszczanom cokolwiek sprawiedliwości uczyniono i o ulepszeniu klas niższych myśleć poczęto, zmniejszona pierwszym zaborem Polska, wystawiła 60,000 wojska! a lat temu 43, jeszcze więcej drugim zaborem uszczuplona, miała do walki 30,000 wojska, pod dowództwem Kościuszki, i lud wszelkiej klasy w obronie kraju był czynny. Ale jeszcze szczuplejszy kraj, jakim był zabór pruski, lat temu 30, wystawił 30,000 wojska! a księztwo Warszawskie mało co większe, lat temu 26, wystawiło 90,000 wojska żwawego, bo w nim było wielkie towarzyskie ulepszenie. W ostatniem poruszeniu, w mniejszem jeszcze kongresowem królestwie stanęło wojska 80,000 i wszystkie klasy ludu rwały się do broni, nielicząc dorywczych powstań, gdzie do 50,000 walczyło. A to całe poruszenie było w mniejszej rozciągłości kraju niż powstanie Kościuszki. Gdyby Pułascy, gdyby Kościuszko mieli nie 8,000, nie 30,000, ale 130,000, jak w tym ostatnim było, czegóżby nie dokazali!“ — — — — — — — — — — — — — —

Ostatnie z r. 1863—4. sprawy za dobrze nam obecne, byśmy pod tym względem jakie wywody dawali; w niektórych koteryach pozłacanych, bywało z przekąsem ekonomskiem powstaniem przezywane, i słusznie, bo od dołu wyszła inicyatywa, co jest bardzo pocieszającym symptomem; wszelako rezultat dowiódł, że jeszcze oświata ludu w kolebce, a dokąd ona w kolebce, to gwałtu! przebóg! krzyczymy w niebogłosy. dotąd w kolebce i przyszłość i niepodległość ojczyzny, którą tak wszyscy kochamy! dokąd jej nie wypiastujemy na własnych, choć mdlejących rękach, naszemi nie ochrzcimy łzami, i chodzić nie wyuczymy naszym przykładem, i mówić nie nauczym tego niemowlęcia Tytana, dotąd każdy wysiłek będzie podrywem nieszczęśliwym... jak strzał Berezowskiego. Bezpośrednia rękojmia i owoc walki, czujemy że tam! spoczywa. A biada nam, jeżeli... ale jest Bóg!...

BIBLIOTEKA NARODOWA

SPIS NIEKTÓRYCH DZIEŁ
NAKŁADOWYCH I KOMISOWYCH
KSIĘGARNI **PAWŁA RHODE** W LIPSKU.

		Tal.	Sgr.
Hoffman, K. B. Historya reform politycznych w dawnej Polsce. 1867. . .	Cena	1	20
Świerszcz, B. Napoleon III. i terytoryalne wynagrodzenia Francyi. 1867. . .	„	—	24
— — — Napoleon III. na czele skoalizowanej Europy. Poszyt I. 1867. . .	„	—	10
Niemcewicz, J. U. Horacyusza ody satyry i listy.	„	—	20
Polska w 1863 r. Poezye. 1866. . . .	„	1	—
Oprawne w płótno ang. z wyzłoceniami.	„	1	10
Alkar, Tytan. Arion z Koryntu. Poezye. 1866.	„	—	15
Oprawne w płótno ang. z wyzłoceniami.	„	—	25
Anioł ziemi. Srebrny śpiew przez T. L. 1866.	„	—	20
Oprawne w płótno ang. z wyzłoceniami.	„	1	—
Brendel, Dr. Zarysy historyi muzyki. 1866.	„	—	20
Perreyve, H. Do matek i niewiast polskich. 1866.	„	—	8
Komedja polska. Sempre speranza. 1865.	„	1	—
Materialien zur Geschichte poln. Landestheile unter preussischer Verwaltung. 1861.	„	1	—
Trocki, L. Die Entwickelung der Oper in Polen. 1861.	„	—	12
Kniepen. Księgi zasadnicze rodu ludzkiego. 1865.	„	—	15
Jan z Puszczy. Namaszczony. Poezye. 1865.	„	—	8
Na dzisiaj. Rapsod tragi-komiczny. 1866.	„	—	10
Daleki. Wspomnienia mojego ojca. 1865.	„	—	8
Koszutski, H. Żywot św. Wojciecha. 1865.	„	—	10
Koszutski. H. Żywoty św. pustelników polskich. 1866.	„	—	8
Józef z nad Obry. Szkaplerz wiarusa 1866.	„	—	10

		Tal.	Sgr.
Ostatnie słowo pociechy. Cytadela Warszawska	Cena	—	15
Zabawa geograficzna polska. . . .	„	2	—
Schmitt, Henryk. Dzieje Polski w XVIII. i XIX. wieku. 1866. I. II. .	„	2	21
Mill, John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym. 1866.	„	1	6
Simon, Juliusz. Rzecz o szkole 1866.	„	1	—
Witowski, H. Świat roślinny. Tom I.	„	1	10
Kalendarz na rok 1867.	„	1	6
Bolesławita, B. Żyd. 3 tomy. 1866. .	„	4	15
— — — Dziecię starego miasta. 1863.	„	1	15
— — — Szpieg. 1864.	„	1	15
— — — My i Oni. 1865.	„	1	15
— — — Na Wschodzie. 1866. . . .	„	1	18
— — — Rachunki z 1866 roku. 1867.	„	2	—
Kraszewski, I. J. Wieczory Drezdeńskie. 1866.	„	1	15
— — — Pamiętnik anegdotyczny. 1867.	„	2	20
Lenartowicz, T. Poezye. 2 tomy. 1861.	„	2	15
— — — Polskie śluby. 1866. . . .	„	—	10
Mickiewicz, A. Literatura słowiańska. 4 tomy. 1865.	„	5	—
— — — Toż samo. Wydanie większe. 1865.	„	7	—
Libelt, K. Dwaj bracia Śniadeccy. 1866.	„	—	10
Mochnacki, M. Dzieła. 5 tomów. 1863.	„	6	—
Siemieński, L. Portrety literackie. 1866.	„	1	10
Szekspira dzieła dramatyczne. Tom I. 1866.	„	3	—
Zaleski, B. Oratoryum wieszcze. 1865.	„	1	10
Wegner, L. Dzieje 3 i 5 Maja 1791. 1866.	„	2	—
— — — Sejm Grodzieński ostatni. 1866.	„	2	—
Studniarski, M. Gramatyka francuzka.	„	1	15
Ollendorfa gramatyka dyalogiczna francuzka 2 tomy.	„	1	20
Prémiéres lectures françaises à l'usage des enfants polon.	„	—	10
Cegielski, H. Nauka poezyi . . .	„	1	20
Gruszczyński. Nauka o zdaniu . .	„	—	20

LIPSK.

Czcionkami A. Th. Engelhardta.